POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień *Dnia 22-go lipca 1944r.* **Rok VI. Nr. 29**

CO MA URATOWAĆ NIEMCY?

Wojna weszła w krytyczny okres. Rozstrzygają się ostatecznie nie tylko wojskowe losy krajów wplątanych w zamęt wojenny, rozpoczyna się już rozgrywka polityczna o wygranie względnie przegranie p o k o j u. Ponieważ w Europie wojna toczy się przeciwko Niemcom, rozpatrzmy przede wszystkim polityczne plany, nadzieje i możliwości naszego przeciwnika.

Kierownicy Trzeciej Rzeszy liczyli zawsze na pełne zwycięstwo Niemiec. Polityka ich była budowana zawsze na *błędnej* ocenie przeciwników, uchyla się więc od bezstronnego rozbioru. Miała też ona, i do tej chwili ma charakter hazardu, więc trudno wysnuwać z niej wnioski rozumowe. Można natomiast zestawić oczekiwania tych kół politycznych w Niemczech, które, nie stanowiąc jądra partii narodowo-socjalistycznej, poszły jednak swego czasu na udzielenie pełnego poparcia i współpracy hitleryzmowi. Chodzi tu głównie o klikę generalską, wielkich przemysłowców oraz konserwatystów niemieckich. Z szeregu raportów neutralnych obserwatorów wynika, że te wpływowe odłamy niemieckiej opinii kalkulowały czy kalkulują mniej więcej następująco:

1/ Wygranie wojny przez Niemcy otworzyłoby drogę do światowego panowania narodu niemieckiego i przyniosłoby mu tak wielkie korzyści, że nie ma poświęceń, których dla osiągnięcia tego celu nie warto by ponieść.

2/ Niepowodzenia wojskowe niekoniecznie oznaczają klęskę. Przegrana wojna może skończyć się w pewnej chwili pokojem rokowanym. Wielkie zdobycze terytorialne uzyskane przez Niemców w pierwszych okresach bieżącej wojny dają możliwość rokowania o pokój na takich zasadach, że Rzesza nie tylko nie musi wyjść z wojny terytorialnie okrojona, ale może także pozostać politycznie silniejsza, niż była w 1939 roku.

3/ Pełna militarna klęska Niemiec po okresie zawojowania przez naród niemiecki całej Europy, po okresie zagospodarowania tej Europy według planów niemieckich oraz po okresie skolonizowania nowych obszarów tej Europy niemiecką ludnością /zachodnie dzielnice Polski, północna Jugosławia, Alzacja i Lotaryngia, okręgi Eupen i Melmedy, Luksemburg/ postawi zwycięzców przed niebywałymi trudnościami. Trudności tych Sprzymierzeni sami nie rozwiążą. Będą oni, dzięki zaistniałym w ciągu działań wojennych przemianom w Europie, skazani na współpracę z Niemcami. Niemcy mogą stracić, i zapewne przy pełnej militarnej klęsce stracą, wszystkie zdobyte tereny, ale z zajętego w Europie kierowniczego stanowiska już się usunąć nie dadzą. Jeżeli tego europejskiego stanowiska Niemiec nie obronią ludzie z wewnątrz Rzeszy, to o utrzymanie go postara się — emigracja. I Niemcy znowu staną się pępkiem, jeżeli nie świata, to na pewno Europy.

Trzy wymienione tu punkty niemieckiego rozumowania nie wyczerpują wszystkich spekulacji naszych przeciwników. Mówią jednak wiele. Przede wszystkim tłomaczą, dlaczego nie ujawniła się dotąd wewnątrz Niemiec jakaś wyraźna opozycja. Tłomaczą, dlaczego od 1942, gdy stało się już jasne, że Niemcy nie mogą wygrać wojny wojskowo, zaczęto w Niemczech tyle mówić o Europie, jako całości, bronionej przez Trzecią Rzeszę przed bolszewizacją. Tłomaczą także, dlaczego Niemcy spekulują — już nie na zwycięstwo, które jest nie do osiągnięcia, ale — na czas.

* * *

Trzecia Rzesza jest wynikiem rozwoju niemieckiej praktyki rządzenia i niemieckich nauk politycznych na przestrzeni ostatnich dwustu lat. Narodowy socjalizm nie jest ruchem oderwanym od przeszłości Niemiec, jest wynikiem tej przeszłości. Fakt ten niesłychanie utrudnia snucie wszelkich planów co do urządzenia Niemiec po tej wojnie. Każe się bowiem liczyć z nawarstwieniem poglądów, których przegrana Niemiec w tej wojnie nie usunie automatycznie z zakamarków mózgowych narodu niemieckiego.

Jeden z emigrantów niemieckich, Hans W. Weigert, opublikował w tym roku grube tomisko, wydane przez Oxford University Press w Nowym Yorku p.t. *"Generals and Geographers"* /Generałowie i geografowie/. Czytanie tej książki kończy się smutnym, ponownym stwierdzeniem ciągłości i głębokości zakorzenienia w społeczeństwie niemieckim idei — wielkich przestrzeni, skazanych "prawami" tak zwanej geopolityki na to, aby były we władaniu narodu niemieckiego. Jak wykorzenić z wyobraźni niemieckich mas tę niezdrową wizję panowania nad połową świata?

Grzebanie u źródeł pangermanizmu, jako niemieckiej doktryny uzyskania jednego z górujących stanowisk w polityce światowej, prowadzi nie tylko do ponurych myśli, ale i do wniosków bardzo charakterystycznych i pożytecznych dla praktycznych rozstrzygnięć polityki bieżącej. Pangermanizm jest przy tym nie tylko wynikiem działalności publicystycznej poważnych pisarzy niemieckich, nie tylko wynikiem niemieckiej filozofii narodowej.

Pobudzali i zasilali go często argumentami pisarze najzupełniej niepoważni, głupio nadęci. Pozostaje ciągle jeszcze tajemnicą duszy Niemców, skąd się brał i bierze ten ogromny wpływ ludzi niekompetentnych na naród "poetów i myślicieli", na równi — zupełnie na równi — z wpływem filozofów, historyków, uczonych. Jak powstrzymać w przyszłości oddziaływanie na wyobraźnię polityczną narodu niemieckiego nie tylko profesorów, ale i demagogicznych nieuków? A tych drugich po wojnie na pewno nie zabraknie. Zatrzymajmy jednak na chwilę naszą uwagę na pisarzach poważniejszych.

W drugiej połowie XIX-go wieku opublikował szereg politycznych książek Constantin Frantz, pisarz, który skądinąd mógłby wydawać się nam sympatyczny, gdyż ostro potępił rozbiory Polski. W jednej z tych publikacji /*"Die Weltpolitik"* — Polityka światowa — 1882/ przemówił za stworzeniem wielkiej konfederacji europejskiej, do której weszłyby obok Niemiec — m.i. Austria, Holandia, Belgia, Szwajcaria, całe Bałkany i Polska, ale tylko w granicach zaboru rosyjskiego. Starczy zajrzeć chociażby do *"Encyclopedia Britanica"* /Encyklopedia Brytyjska/, aby stwierdzić, że autor ten jest wymieniony jako jeden z wielu ojców duchowych szowinistycznego *Alldeutscher Verband* /Związek wszechniemiecki/ i tych pisarzy wszechniemieckich, którzy byli czy są adwokatami podporządkowania całej Europy Niemcom.

Członek Reichstagu, wybitny teolog, pastor dr. F. Naumann w swej osławionej *"Mittel Europa"* /Europa Środkowa/, wydanej w czasie Pierwszej Wojny Światowej, ten pomysł konfederacyjny rozwinął w federację środkowoeuropejską. Miała ona według niego obejmować obszar od Antwerpii i Morza Północnego aż po Basrę i Zatokę Perską, sięgając także do Afryki. Ośrodkiem tej federacji byłyby oczywiście Niemcy, pierwszym krokiem do niej centralnoeuropejska unia celna a celem — przeciwstawienie się Stanom Zjednoczonym i Imperium Brytyjskiemu.

Pastor Naumann był bliższy Hitlerowi, niż Bismarck. Naumann nie cofał się przed objęciem wpływami niemieckimi Bałkanów; Bismarck unikał mieszania się w sprawy bałkańskie, nie chcąc na tym terenie starcia z polityką rosyjską. Temu przypisać należy ukazanie się w tej wojnie pism Bismarcka w Moskwie w tłomaczeniu uczonego sowieckiego Yerusalimsky'ego.

* * *

Niebezpiecznymi muszą wydać się mniejszym państwom europejskim nie tylko europejskie pomysły h i t l e r o w s k i e g o porządku. Nie zawadzi także ostrożność w ocenie powojennych planów niemieckich emigrantów, których trudno oderwać od rozwoju niemieckich doktryn politycznych, skoro podkreślają swą łączność z narodem niemieckim.

Większość emigrantów niemieckich propaguje obecnie bardzo zdecydowanie pomysł federacji europejskiej, jako środka na rozwiązanie wszystkich trudności politycznych Europy. Niemcy miałyby stać się jak najszybciej członem tej federacji i miałyby zachować swą siłę przemysłową, któraby im umożliwiała "gospodarczy" wkład we współpracę narodów. Najbardziej szczegółowo rozwinął ostatnio ten plan w Stanach Zjednoczonych, wybitny socjalistyczny członek wejmarskiego Reichstagu a obecnie naczelny redaktor nowojorskiej *"Volkszeitung"* /Gazeta Ludowa/ dr. Gerhart H. Seger.

Zawiązkiem federacji europejskiej miałyby być — jego zdaniem — unia celna narodów europejskich oraz wprowadzenie wspólnej waluty. Tą drogą dojdzie się do gospodarczego scalenia kontynentu a wynikiem tego gospodarczego scalenia będzie zniknięcie — sprawy granic. Według Segera ośrodkiem federacji europejskiej winny być Niemcy dla tej prostej — jego zdaniem — przyczyny, iż 80 milionowy naród niemiecki /więc zalicza Austrię do Rzeszy/ stanowi największą jedność narodową w Europie. Szczególny posmak ma zdanie pana Segera, że wielu robotników zagranicznych nie wyjedzie już z Niemiec po tej wojnie, gdyż pożenili się tam z Niemkami. Czyżby Seger uważał, że to w pewnej mierze wyrówna niemieckie straty wojenne w ludziach?

Związek myślowy Segera z Frantzem i Naumannem jest widoczny. Myślę, że przyklasnęliby mu z wewnątrz Trzeciej Rzeszy ludzie spekulujący na to, iż nawet po klęsce nie da się zepchnąć Niemiec z ich europejskiego stanowiska i że bez Niemców zwycięzcy nie będą w stanie urządzić Europy. I na pewno nie raziłby ich wcale fakt, że pomysł takiego rodzaju wychodzi od socjalisty i mógłby być wprowadzony w życie przez lewicę.

Nie braknie w Niemczech w żadnej ze społecznych grup patriotów, niemieckich patriotów, którym jest w ostatecznym razie obojętne, jaka partia polityczna ratować będzie Niemcy od zagłady. To tłomaczyło by także w pewnej mierze pogłoskę dotąd niepotwierdzoną, że generałowie troskliwie opiekują się niektórymi wybitnymi socjalistami, pozostałymi w Rzeszy hitlerowskiej. Przyjdzie chwila, w której trzeba się będzie starać imiennie, po nazwisku, ujawniać te powiązania.

* * *

Nie jest zamiarem niniejszego artykułu wyciąganie wniosków co do odpowiedzi na to Sprzymierzonych czy polityki polskiej. Artykuł ma tylko charakter sprawozdawczy. Nie mniej od jednej uwagi powstrzymać się nie można; jest zbyt istotna dla zrozumienia politycznych posunięć *Niemców*, więc nie tylko *Hitlera*.

Polityka niemiecka jest konsekwentna. Od chwili narodowego zjednoczenia Niemiec w początku XIX wieku, uparcie i niezmiennie dąży do jednego celu: zdobycia dla Niemiec stanowiska górującego w Europie, aby na tej przewadze budować światowy wpływ Rzeszy. Z drogi do tego celu nie sprowadzają Niemców żadne trudności. Mimo nacisku zewnętrznego, Niemcy nie tylko nie wyrzekają się swych planów, ale nawet ich nie zmieniają. Były w dziejach nowoczesnych Niemiec bardzo ciężkie chwile, są i dzisiaj, kiedy cały świat jest przeciwko nim. Mimo tych trudności upór w osiągnięciu celu nie załamuje się.

Czy można by to samo powiedzieć o polskich projektach politycznych? Czy nie jest raczej u Polaków tak, że porzucają plany /nie taktykę, lecz plany/ za lada nieprzyjaznym podmuchem wiatru? Porównanie Polski z Niemcami nasuwa się także ze względu na geograficzne położenie obydwu krajów. Oba w ciągu wieków miały i do dnia dzisiejszego mają otwarte na wszystkie strony granice. Oba leżą na wielkiej europejskiej równinie, na której ścierały i ścierają się różne wpływy. Polska jest mniejsza — powiecie. Niemcy nowoczesne też odrazu nie były silne; ich polityczny zawiązek — Prusy były początkowo tworem geograficznie jeszcze gorzej położonym, niż Polska, a ostały się i rozrosły.

Byle by być w dążeniach konsekwentnym.

8 lipca

JÓZEF WINIEWICZ

MATKA BOSKA WYSIEDLONA



Jedną z największych potworności praktykowanych przez Niemców na ziemiach polskich są przymusowe wysiedlenia z ziemi, z warsztatów pracy. Odbywają się one w sposób niezmiernie brutalny: w pośpiechu i bez jakiegokolwiek odszkodowania. Cyfra wysiedlonych z polskich Ziem Zachodnich sięgnęła p ó ł t o r a m i l i o n a ludzi.

W związku z tą nieludzką praktyką pozostaje wzruszający dokument, wydany przez organizację podziemną, który dziś reprodukujemy — obrazek "Matki Boskiej Wysiedlonej" i modlitwa do Niej. O sprawności pracy podziemnej świadczy fakt, że ten ulotny druk jest wykonany autotypią trójbarwną.

O MATKO NAJŚWIĘTSZA . . .

Jęczymy w niewoli, miasta w gruzach, wyludnione.

Najlepsi synowie mrą w katordze.

Na rozdrożach szubienice.

Wdowy, sieroty, biedacy mrą z niedostatku i chorób.

Rozpacz targa serca wyrywanych z łona rodzin, śmiertelna trwoga ściska obawą o najbliższych.

Twe wizerunki pohańbiono, figury usuwa się, chcąc i Ciebie wysiedlić.

Matuchno . . .

Ulituj się, racz męczarnie nasze okazać wraz z Twym przebitym sercem Umiłowanemu Synaczkowi, by przyśpieszył dzień Zmartwychwstania, abyś Ty, Mario "Wysiedlona" mogła niepodzielnie nam królować w kościele, przy ogniskach rodzinnych, w warsztatach i na rozstajach dróg. Amen.

Szkic sytuacyjny

KU PRUSOM WSCHODNIM

Wojska sowieckie dotarły dnia 15-go lipca do miejscowości Alytus, leżącej w odległości 40 km. od Suwałk. Znajdują się one na Niemnie na froncie szerokości 130 km. W kilku punktach przekroczyły Niemen.

Wydaje się, że upadek Grodna jest sprawą dni, tym bardziej, że miasto jest w "korytarzu": manewr ten stosują teraz wojska sowieckie bardzo często korzystając z faktu, że linia niemiecka nie jest linią ciągłą. Szpice pancerne sowieckie były już dwa razy w Grodnie. Dotarcie do Suwałk jest również sprawą bliską. Osaczenie Kowna będzie wtedy niemal dokonane. Los wojsk niemieckich w krajach bałtyckich nie będzie jeszcze przypieczętowany, albowiem można się jeszcze cofać na dwa sposoby:

do Prus Wschodnich,
szlakiem morskim.

Na wodach Bałtyku Niemcy mają jeszcze osłonę pancerników "kieszonkowych", krążowników i kontrtorpedowców. Mają również liczne transportowce. Ale za to brak odpowiedniej osłony lotniczej stwarza dla czerwonego lotnictwa — jak i dla lotnictwa amerykańskiego bazowanego w Rosji — poważne możliwości. Droga morska nie jest zatem najpewniejsza.

Niemcy raz jeszcze próbują sztuczki, która im się fatalnie nie udaje od dłuższego już czasu, a mianowicie przeciągania oporu aż do ostatniej chwili. Pozycja ich wojsk w państwach bałtyckich jest bardzo "naciągnięta". Kto wie, czy wycofanie nie przyjdzie za późno. Uratowanie ciężkiego sprzętu stoi pod znakiem zapytania.

Marsz sowiecki jest doskonale rozplanowany. Uderzenie idzie wielkim rzutem na Prusy Wschodnie, ale niemal napewno można przyjąć, że wojska rosyjskie nie posuną się w same Prusy, dopóki nie uzyskają cofnięcia się wojsk niemieckich z krajów bałtyckich. Rosja napewno pamięta doskonale swoje błędy z wojny poprzedniej. Pamięta też pewnie swoje błędy z r. 1920-go. Jeżeli strategia niemiecka opierała swoje nadzieje — i może je dalej jeszcze opiera — na powtórzeniu "cudu" jezior mazurskich, albo bitwy nad Wisłą, to napewno Rosjanie wiedzą dobrze o tym i zrobią wszystko, ażeby zaskoczyć Niemców jakimś nowym pociągnięciem.

Tempo sowieckie jest duże. Trudno się bawić w przepowiednie w stosunku do frontu, który ma kapryśne "terminy" i na którym nieraz wywalił się niejeden prorok. Ale zajęcie Brześcia nad Bugiem nie może być odległą sprawą. Marsz ku Warszawie może być wtedy wymierzony bardzo ostro.

Stratedzy brytyjscy wypowiadają sąd, że Niemcy będą usiłowali stawiać opór na linii Prusy Wschodnie-Bug-San. Nie wątpimy, że "będą usiłowali". Pytanie jednak polega na tym, czy potrafią i czy istotnie Niemców stać jeszcze na trzymanie nawet bardzo skróconego frontu. Wydaje się, że front na wschodzie był bardzo "rozrzedzony". Było to dobre przez jakiś czas, ale z chwilą, kiedy Rosjanie podciągnęli ludzi i sprzęt, braki te wyszły na jaw bardzo wyraźnie. Niemcy nie mają po prostu dostatecznej ilości ludzi do trzymania olbrzymiego frontu.

Szanse niemieckie na linii powyżej wspomnianej są może lepsze, ale bynajmniej nie "murowane". Wyjścia, jakiegoś przeciw-uderzenia niemieckiego nie widać. Nie bardzo też widać, ażeby siły niemieckie mogły się poważniej skupić. Doniesienia niemieckie, że wojska sowieckie przeszły do ataku na Lwów nie znajdują jeszcze potwierdzenia ze strony sowieckiej, ale być może, iż Rosjanie skupiają siły do uderzenia w tym rejonie. To, że front małopolski a później rumuński, muszą się ożywić jeszcze w lecie, nie ulega prawie wątpliwości.

Zagadnienia polityczne wychodzą oczywiście na jaw coraz ostrzej. Zamiary sowieckie wobec państw bałtyckich nie przedstawiają już zagadki nawet dla najostrożniejszych dyplomatów. W rozkazie dnia Stalina po zajęciu Wilna określona była pozycja tego miasta w sowieckim "nowym ładzie". Co do sprawy polskiej w szerszym znaczeniu, to *"Observer"* z dnia 16-go lipca zapowiada mowę Mołotowa, który przedstawi przyszły stosunek Rosji do Polski. Polegałby on, zdaniem pisma londyńskiego dobrze zazwyczaj poinformowanego z góry o planach sowieckich, na potwierdzeniu linii Ribbentrop-Mołotow i na zaznaczeniu, że na zachód od tej linii Rosja "nie chce krępować swobody politycznej". *"Observer"* sądzi, że mowa Mołotowa kierowałaby albo pośrednie zaproszenie do rządu polskiego, by wrócił do Warszawy, albo też raczej zostawiał sprawę otwartą w tym sensie, że po zajęciu Warszawy Rosjanie "poszliby na próbę". Próbowaliby oni stworzyć w Warszawie rząd z czynników raczej nawet prawicowych, próbowaliby apelować do czynników "z kresów zachodnich", któreby życzliwie patrzyły na szanse "daleko sięgającej ekspansji na zachód".

Znany pisarz i dziennikarz Negley Farson, który od dwu z górą lat ogłasza w *"Daily Mail"* ciekawe, a co więcej, trafne oceny polityki sowieckiej, zamieścił w dniu 11-go lipca artykuł p.t. *"When the Russians get to Prussia"* /Gdy Rosjanie osiągną Prusy/. Zaznacza on w tym ciekawym rozbiorze, że Rosjanie gotowi byliby oddać "Prusy Wschodnie poniżej Królewca" Polakom, gdyby ci "doszli do rozumu" i zrezygnowali z kresów wschodnich. Można by nawet w "drodze targu" uratować Wilno i Lwów. Oczywiście, Królewiec będzie "wielką bazą morską Rosji", największą bazą sowiecką na Bałtyku. Wyspy Alandzkie muszą być w rękach sowieckich. Kanał Kiloński w pojęciu sowieckim umiędzynarodowiony /co jest słuszne/ — Farson daje do poznania, że głównym udziałowcem byłaby Rosja. Wiąże się to z doniesieniami amerykańskimi, że Rosja pragnęłaby mieć bazy w Danii. Przedstawiciel Wolnej Rady Duńskiej ma złożyć, czy już złożył w Rosji pewne obietnice. Dążenie do stworzenia z Bałtyku sowieckiego *Mare Nostrum* /Nasze morze/ są tu jasno i dobitnie wyłożone.

W NORMANDII — ANZIO

Chwilowo mamy do czynienia z wzorem Anzio. Nie znaczy to, ażeby front nie miał się ożywić, ale w samej zasadzie niewiele się po zajęciu Caen zmieniło. Postępy amerykańskie będą mocniejsze, skoro poprawi się pogoda i lotnictwo przejdzie do akcji na większą skalę, ale to wszystko jeszcze nie sprawia, że cały front normandzki mógłby stać się *"dynamiczny"*.

Nie jest to oczywiście rzecz pomyślna. Front zachodni jest ustalony, ale nie posuwa się; grozi mu zastój. Konieczność powołania do życia nowych przyczółków, nowych lądowań, narzuca się sama. Okazuje się, że Niemcy biją się — biją się oni i na wschodzie — i że nie załamują się. Trzeba ich tylko zdystansować liczebnie, sprzętem. Przypuszczać należy, że gromadzi się sprzęt.

Czas nagli. W prasie brytyjskiej odbija się wyraźnie zaniepokojenie dlaczego w Normandii idzie tak powoli. Lotnictwo oczywiście mogłoby pomóc wiele, ale nie można wszystkiego na nie składać. Ostatecznie ataki lotnicze kończą się *"obliteration"* czy zupełnym spustoszeniem, Posuwanie się wzorem *"obliteration"* nie może być celem armii *"of liberation"* /armii wolności/.

POWOLI WE WŁOSZECH

Livorno i Ancona dalej jeszcze są w rękach wroga. Jest to zjawisko również niepomyślne, albowiem z chwilą opanowania Ancony powstaje możliwość lądowań w Jugosławii. Lądowania takie przeprowadzane byłyby, jak powiadają pewne źródła amerykańskie, przez wojska brytyjskie, sowieckie, amerykańskie.

Wojska sowieckie zjawiłyby się na polach Jugosławii przez Dardanele. Tym się tłumaczy, jak poddają pewne koła, nacisk sowiecki na Turcję; rozumowanie to wydaje się prawdopodobne.

"Sunday Times" z 16-go lipca powiada, że Turcja zdecyduje się szybko; *"Observer"* z tego dnia, że nie tak prędko. Raczej ufałbym *"Observerowi"*.

"ROBOTY" PRZYCICHŁY?

Londyn miał kilka spokojnych nocy, dni są lepsze, ale nie znaczy to jeszcze, ażeby "latające bomby" były opanowane. Bombardowanie wyrzutni dało zapewne doskonałe wyniki. Pewne "stacje" wyraźnie albo zamknęły się /oby na zawsze!/, albo ograniczyły swoje "pociagi". Londyn opustoszał, ewakuacja miasta dała dobre wyniki, sporo ludzi wyjechało na obszary dawniej "zamknięte". Głębokie schrony zostały otwarte, życie uregulowało się.

Oczywiście, jeżeli Niemcy mają jeszcze w zapasie "V2", którego tonnaż waha się w granicach 5 — 15 ton /?/ według obliczeń prywatnych strategów, to sytuacja byłaby mniej miła dla mieszkańców Londynu. Przekonamy się, i to zapewne niebawem, czy istotnie mają jeszcze V2 czy są to "strachy na Lachy", czy osłabnięcie ataków jest wynikiem wyczerpywania się zasobów czy też przejścia na chwyty bardziej celowe? Niemcy mogli się przekonać, że strategicznie niewiele uzyskali. Politycznie — stracili. Ale nie znaczy to jeszcze, ażeby Niemcy, opanowani ślepą furią, straceńcy bez polityki i zmysłu dyplomacji, państwo, które w tej wojnie wystawiło sobie pomnik tępoty, sadystycznej głupoty, zaślepienia — chcieli wyciągać z tego naukę. Raczej wszystko wskazuje na to, że chcą oni zginąć w tej wojnie w jakiejś straceńczej "bitwie Nibelungów", że ponury, zaczajony w naturze Niemca zmysł samobójczy, zwycięży nad odruchem samozachowawczym.

Londyn, 15 lipca 1944 r.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

10 lipca: Wojska sowieckie zajęły w Polsce Łuniniec i Słonim. Na Litwie zajęto m. Uciana między Kownem a Dźwińskiem.

—Prasa podała wiadomość o wzmożonej akcji oddziałów Armii Krajowej w województwach wileńskim, nowogródzkim, białostockim i wołyńskim zgodnie z instrukcjami Rządu R.P. i rozkazami Naczelnego Wodza.

—II. Korpus polski we Włoszech poprawił swe pozycje, poszerzając przyczółek mostowy na płn. od rzeki Musone.

—W nocy z 9/10 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Za dnia polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawy bombowe i wykonywały inne zadania bojowe m.in. zwalczały bomby latające. Piloci polscy zestrzelili dotąd 28 bomb latających.

11 lipca: Lotnictwo amerykańskie w sile ponad 1100 bombowców bombardowało za dnia Monachium.

—W nocy z 10/11 polski dywizjon bombowy lekki bombardował drogi komunikacyjne. Dwie załogi polskie nie powróciły z tego zadania. Tej samej nocy polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował na Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły do swych baz.

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawy bombowe i zwalczały bomby latające.

—Wojska sowieckie zajęły Landwarów w Polsce oraz przekroczyły granicę łotewską.

—Oddziały II. Korpusu zajęły we Włoszech Monte Polesco i Villa Nuova.

—Naczelny Wódz gen. broni K. Sosnkowski wyjechał na inspekcję wojska polskiego na Bliskim Wschodzie.

—Stany Zjednoczone A.P. uznały rząd francuski gen. de Gaulle.

12 lipca: W nocy z 11/12 polski dywizjon bombowy ciężki bombardował drogi komunikacyjne, a polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły.

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawy bombowe i zwalczały bomby latające. W dniach 11 i 12 piloci polscy zestrzelili 6 bomb.

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało Monachium za dnia. W nalocie wzięło udział ponad 1200 bombowców.

—Wojska sowieckie zajęły w Polsce Wasiliszki.

—Naczelny Wódz w drodze na Bliski Wschód zatrzymał się w Gibraltarze.

13 lipca: Wojska sowieckie zajęły Wilno oraz Orany na płn.-wsch. od Grodna.

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało silnie Monachium.

—W nocy z 12/13 polski ciężki dywizjon bombowy bombardował cele wojskowe we Francji. Wszystkie załogi wróciły.

14 lipca: Wojska sowieckie zajęły Pińsk oraz Wołkowysk i Druskienniki.

—Naczelny Wódz przybył do m.p. dowództwa II. Korpusu we Włoszech.

15 lipca: Wojska sowieckie przekroczyły Niemen między Grodnem a Kownem. Niemcy podali wiadomość o nowej ofensywie sowieckiej w kierunku na Lwów.

16 lipca: Sprzymierzeni zajęli Arezzo.

—Wojska sowieckie zajęły Grodno.

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało silnie z baz brytyjskich Monachium, a z baz włoskich Wiedeń.

WYŚCIG STRATEGII

Jesteśmy w tej chwili świadkami wyścigu strategicznego i taktycznego stron obu. Z jednej strony ostrożna ale systematyczna i wyrachowana strategia Aliantów, oparta o panowanie na morzu i zmuszająca Niemców do trzymania bezczynnie dużych sił na odcinkach, gdzie dalsze desanty mogą jeszcze nastąpić, z drugiej strony — histeryczne miotanie się Hitlera między trzema frontami /nie od rzeczy będzie przypomnieć tu jego słynną mowę z r. 1939, kiedy to twierdził, że Niemcy nigdy nie będą zmuszone do wojny na dwa fronty!/, no i zapowiedź użycia dalszych "tajnych" broni, które rzekomo mają przywrócić "Hitlerlandowi" pewność zwycięstwa.

Z sytuacji jednak wynika, że wyścig ten, prędzej czy później, będzie wygrany przez Sprzymierzonych. W całokształcie zaś wytworzonego położenia specjalnie odśrodkowe staje się położenie Japonii — trzeciego partnera mocno nadłamanej "osi".

Floty admirała Nimitza zatknęły już gwiaździstą banderę na wyspie Saipan o 1200 mil od brzegów metropolii mikada. Bombardowały wyspy Bonin i Volcano o 500 mil od południowego jej cypla. W chwili gdy piszemy te słowa siły adm. Nimitza rozpoczynają próbę odebrania Japończykom wyspy Guam. Od 10 czerwca do 3 lipca zatopiły 41 japońskich okrętów i statków oraz 4 prawdopodobnie, a uszkodziły 62 — kosztem czterech uszkodzonych własnych! Poza tym zestrzeliły 835 samolotów, kosztem straty 168 własnych, przy czym 107 lotników uratowano. Jakkolwiek cyfry te wydają się bardzo optymistyczne, to jednak nie ulega wątpliwości, że Japończycy doznają jednego niepowodzenia po drugim.

I teraz powstaje dla nich sprawa — "być albo nie być", czyli raczej "bić albo nie bić". Jeśli Japończycy przyjdą z pomocą Niemcom, uderzając od wschodu na Rosję, to wykończą się na wszystkich innych odcinkach olbrzymiego frontu, sięgającego od Cieśniny Beringa po Australię. Jeśli nie uderzą, to Niemcy zostaną zdruzgotane, a wówczas Japonia pozostanie sama na placu boju wobec Ameryki, Anglii i . . . Rosji.

Wojna na morzu

MINY W KANAŁACH

Lotnictwo brytyjskie /a wraz z nim i polskie/ dokonuje od dłuższego czasu operacji minowania wód nieprzyjacielskich, ze szczególnym uwzględnieniem dostępu do portów. Ostatnio zaminowano Kanał Kiloński, który był nieczynny przez 10 dni. Zaminowany też został Kanał Królewiecki /Piława-Królewiec/, prowadzący przez Zalew Fryski. Na płytkich wodach Bałtyku miny działają skutecznie i kontynuują tradycję polskich okrętów podwodnych, które pierwsze zaczęły je tu stawiać w r. 1939.

Niemcy zajęli wyspy Alandzkie, chcąc sobie w ten sposób choć częściowo zabezpieczyć dostęp do Finlandii. Los ich wojsk w tym kraju zależny jest dziś wyłącznie od swobody komunikacji morskich. Flota sowiecka przeszkadza poważnie, jednak, zdaje się, nie zdołała jeszcze uruchomić swych ciężkich jednostek, zbombardowanych w Kronsztacie. Za to na Północy /Murmańsk/ otrzymała poważne posiłki w postaci brytyjskiego pancernika starszego typu, amerykańskiego krążownika, kilku okrętów lekkich i podwodnych. Jednostki niemieckie zamknięte we fiordach północnej Norwegii nie czują się z tego powodu świetnie.

KTO MÓWI PRAWDĘ, KTO KŁAMIE?

W końcu pierwszego tygodnia lipca miała miejsce na La Manche bitwa między siłami lekkimi obu stron. W rezultacie Admiralicja Brytyjska, jak zwykle ostrożna i prawdomówna, stwierdziła, że 2 lub 3 ścigacze niemieckie zostały zatopione, 1 okręt patrolowy podpalony, a stawiacz min uszkodzony. Siły brytyjskie strat nie poniosły.

Niemcy natomiast z odpowiednią wrzawą donieśli, że zatopili 6 ścigaczy brytyjskich, uszkodzili 9 innych, podpalili kontrtorpedowiec i zestrzelili 13 samolotów! Sami przyznali się do straty 3 ścigaczy, patrolowca i stawiacza min . . .

Prawda sama wychodzi na wierzch. Okazało się, że zatonęły nawet te okręty niemieckie, co do których Anglicy mieli wątpliwości. Natomiast nie zginął ani jeden z okrętów czy samolotów brytyjskich, wspomnianych w komunikacie Hitlera.

W tym świetle, jakże pociesznie wyglądają cyfry Goebbelsa o zatopieniu w ciągu pierwszych czterech tygodni "inwazyjnych", 6 krążowników, 26 kontrtorpedowców i kilkudziesięciu innych jednostek, z dodatkiem poważnego uszkodzenia "kilku" pancerników, 22 krążowników, 25 kontrtorpedowców i t.d., i t.d. Liczenie pana Goebbelsa nabiera właściwego oświetlenia choćby w tekście urzędowego oświadczenia brytyjsko-amerykańskiego, które stwierdza, że w czasie inwazji nie zginął wskutek działań niemieckich okrętów podwodnych ani jeden statek aliancki. Straty od baterii brzegowych, min, lotnictwa i działań sił lekkich oczywiście być musiały — ale poniżej granic przewidywania.* W rezultacie zaś Niemcy nie potrafili nawet wyewakuować morzem choćby drobnej części załogi Cherbourga.

Nie od rzeczy będzie znów przypomnieć, że pojedyńcze grupy załogi Helu odważyły się na sforsowanie blokady niemieckiej w gorszych poniekąd warunkach, na . . . kutrach rybackich.

DOENITZ I RAEDER

Nie ulega wątpliwości, że zmiany na stanowiskach wyższych dowódców niemieckich w wojsku i marynarce są znakiem wewnętrznych tarć i zewnętrznych niepowodzeń. W tej naprężonej atmosferze "grossadmiral" Doenitz trzyma się jeszcze, choć po awanturze cherbourskiej jego stanowisko wydaje się zachwiane. Jakże wygląda dziś oświadczenie Doenitza, że "okręty podwodne same potrafią wygrać wojnę"?

* W pierwszym okresie lądowania alianci stracili: 6 kontrtorpedowców, 4 fregaty, 2 poławiacze min, 2 statki pomocnicze i 1 transportowiec pierwszej linii. Marynarka handlowa straciła 1 statek w stosunku na 1000. Nie są to oczywiście całkowite straty pierwszego miesiąca — należy być przygotowanym na dalsze, nieraz bolesne, ale w każdym razie w cyfrach niemieckich przesada przekracza wszelkie granice.

Doenitz trzyma się jednak siłą . . . bezwładu partyjnego. Zapaleniec i psychopata, uciekł w ubiegłej wojnie z niewoli brytyjskiej, udając obłęd. Teraz ma poparcie Himmlera i wielkich asów nazistowskich. Jego poprzednik, adm. Raeder, był poważniejszy i niepartyjny, to znaczy, że do tytułu doktora filozofii *"honoris causa"*, ofiarowanego mu za napisanie znakomitego dzieła historycznego *"Der Krieg zur See"*, musiał w r. 1937 dorzucić tytuł "honorowego członka partii narodowo-socjalistycznej".

Raeder był w rzeczywistości wskrzesicielem marynarki niemieckiej i twórcą jej nowych doktryn. Jako były szef biura prasy i propagandy w ministerstwie Tirpitza, a do tego dzielny marynarz /był w bitwie pod Jutlandią i długi czas pełnił funkcje szefa sztabu u dowódcy floty zwiadowczej, adm. Hippera/, Raeder orientował się doskonale w zagadnieniach politycznych, organizacyjnych i taktycznych. Marynarka niemiecka zawdzięcza mu wyprowadzenie jej z impasu klauzul wersalskich. Zawdzięcza mu też szereg zmian, nieraz bardzo drastycznych, pozornie nawet śmiesznych, w rezultacie jednak mających poważny wpływ na ducha i sprawność organizacyjną bojową.

I tak Raeder zabronił używania alkoholu /poza winem na oficjalnych przyjęciach/, palenia /poza przeznaczonymi na to godzinami i lokalami/, gry w karty pod jakąkolwiek postacią, a także małżeństw do stopnia kapitana włącznie. Personel lotnictwa morskiego i flotylli podwodnych musiał składać oświadczenia, że wyrzeka się nałogu palenia. Oficerom i marynarzom pozostałych formacji marynarki nie wolno było uczęszczać do barów, palić publicznie /nawet w przedziałach dla palących w pociągach podmiejskich i w kawiarniach/, a za grę w karty groziło wydalenie z marynarki, umotywowane w sposób następujący: "gra w karty podważa koleżeństwo, obniża autorytet dowódców, wprowadza nieuczciwą chęć posiadania cudzych pieniędzy; nie jest też rozrywką czy wypoczynkiem, bo denerwuje, męczy i zabiera wiele czasu, który można poświęcić na dokształcanie, sport, lekturę i inne rozrywki godziwe".

Nie inaczej było z paleniem i alkoholem. Artykuł szefa służby zdrowia marynarki niemieckiej w *"Marine-Rundschau"* dowodził, że człowiek hołdujący nawet w małym stopniu nałogom, nie posiada pełni wytrzymałości fizycznej i duchowej. Oczywiście, że na wojnie wiele zmienić się mogło, ale trzeba przyznać, że wymagania stawiane przez Raedera personelowi marynarki niemieckiej stały na bardzo wysokim poziomie i podniosły jej sprawność bojową.

Sensacją był rozkaz Raedera zabraniający żonom oficerów, starszych podoficerów zawodowych, oraz urzędniczkom marynarki, malowania się, ondulowania czy farbowania włosów, kolorowania paznogci, noszenia krótkich sukien czy bluzek bez rękawów.

Ale poza tymi sprawami Raeder w dziedzinie wyszkolenia taktycznego i organizacji osiągnął bardzo wiele. Jeśli dziś marynarka niemiecka, mimo szalonej przewagi przeciwnika, próbuje jeszcze walczyć i to na Kanale La Manche, jest to jego zasługą a nie Doenitza. Raeder zdobył dla Hitlera Bałtyk, Danię, Norwegię, dwustronny dostęp do Finlandii, pokusił się o blokadę Anglii i panowanie na Atlantyku. Włosi zawiedli go na Morzu Śródziemnym, a mimo to marynarka niemiecka jeszcze dziś trzyma się na Morzu Egejskim. Zrobił tedy co mógł, a raczej więcej niż mógł. Padł ofiarą gniewu Führera czy partii, historia to wykaże. Wydaje się, że trzeba było raczej usunąć Goeringa czy Milcha, twierdzących, że lotnictwo zastąpi marynarkę . . . A w każdym razie nie wybierać Doenitza, który nie tylko sam zblamował się, ale i poderwał cały autorytet Hitlera.

Na nasze zresztą szczęście.

JULIAN GINSBERT

Kwiaty normandzkiego brzegu



Naczelny Wódz z dowódcą O.R.P. "Błyskawica"

PATROL DZIENNY

Było to rankiem 26-go czerwca. "Błyskawica" zbudziła się nieco wcześniej, żeby po codziennych zajęciach przy sprzątaniu okrętu zdążyć przebrać się na granatowo. No i naturalnie deszcz padał tego dnia i chmury wisiały nisko, zasłaniając przed nami i niebo i morze, gubiące się w szarzyźnie.

Krótko po 9-tej motorówka przybiła do trapu i na pokład wszedł Wódz Naczelny, który przyjechał na inspekcję okrętu. Niecodzienna to była inspekcja. Daleka od portowej parady. Naczelny Wódz przyjechał na "Błyskawicę", aby pójść na jej pokładzie na patrol. Normalny patrol operacyjny. To też odkotwiczyliśmy niemal natychmiast po wzięciu gen. Sosnkowskiego na pokład.

Tym razem mieliśmy patrolować za dnia. I mieliśmy podejść pod same brzegi Francji w miejscach opanowanych przez wojska sprzymierzone. Dla nas wszystkich był to więc patrol atrakcyjny nie tylko z powodu obecności Naczelnego Wodza, ale również ze względu na zadośćuczynienie głębokim tęsknotom, przeżywanym dotąd niemal co noc bez spełnienia, któremu mrok — mrok nocny — przeszkadzał, kryjąc przed wzrokiem przedmiot naszego pożądania: brzeg Francji.

Naczelny Wódz spędził całe przedpołudnie na pomoście, interesując się przede wszystkim prowadzeniem okrętu przez wody, na których nieraz zdarzały się nieprzyjacielskie miny, zdradziecko zastawione pod samymi brzegami Anglii. Cóż tu dużo mówić, jeżeli jeszcze teraz to się zdarza.

O.R.P. "Piorun" oddał honory, przecinając nam drogę, kilka alianckich okrętów podwodnych minęło nas w półzanurzeniu. I zostaliśmy sami wśród spokojnej, szarej wody, mglistego nieba i deszczu, nieustannie kropiącego od niechcenia.

Na pomoście co chwilę meldowano samoloty. To zbliżały się do nas, to się oddalały. Były to samoloty alianckie, lecące i powracające z wypraw nad Francję. Czasami zniżały swój lot, aby się nam przypatrzeć z bliska i rozpoznając okręt sojuszniczy, odlecieć w swoim kierunku. Czasami w oddali ukazywały się wielkie konwoje, niewiadomo skąd i dokąd idące.

Trwało tak mniej więcej do południa. Potem ruch na Kanale zmienił swój charakter. Oczom naszym ukazały się wielkie barki desantowe, jacyś żołnierze kiwali nam z daleka, zobaczywszy polską banderę, ścigacze kręciły się coraz gęściej i coraz więcej spotykaliśmy statków handlowych, holujących za sobą tratwy ze sprzętem. Aż wreszcie weszliśmy w tak wielkie zgrupowanie okrętów i statków, że wszędzie — jak okiem sięgnąć — było je widać. Przed nami, obok nas, za nami.

Naczelny Wódz znowu powrócił na pomost po długim, prawie dwugodzinnym pobycie w maszynach, gdzie rozmawiał z załogą. Zgrzany był co się zowie. Bo temperatura w maszynach jest istotnie przykra i trudno jest wytrzymać w niej w normalnym ubraniu. Marynarze pracują tam zazwyczaj rozebrani do maximum.

W pewnej chwili w pobliżu okrętu ukazał się na powierzchni jakiś przedmiot, przypominający lotniczą łódeczkę ratunkową, poza którą kiwał się kształt dziwaczny, do człowieka z rozwartymi ramionami podobny. "Błyskawica" skręciła, kierując się jeszcze bliżej "rozbitka". Ale okazało się, że to były resztki balonu. Pewno urwał się na wietrze i spadł do morza, na którego powierzchni trzymał się ogonem. Za nim wygięła się najzwyklejsza linka.

Wróciliśmy na kurs. Deszcz przestał padać i na niebie rozjaśniły się aż dwie tęcze, aby jeszcze jaskrawiej lśnić w blasku słońca, które niewiadomo skąd znalazło się nad nami, wskazując przedmiot tylu i tak dawnych pożądań: brzeg.

Na lewo żółciła się piaszczysta plaża, a poza nią zieleniał normandzki las. Nieco dalej miasteczko tuliło się małymi domkami do wieżycy kościelnej, na której kręcił się na szpikulcu kogut galijski — symbol Francji.

Wieża kościelna była nadwątlona pociskami, wśród małych domów miasteczka widać było rany po zburzonych, wyrwanych z szeregu członach. Gruzy przyglądały się nam z prawej strony. Ale wyobrażałem sobie, że zobaczę znacznie większe zniszczenie, niż to, które mogłem oglądać przez lunetę z okrętu.

"Błyskawicę" pozdrowił ktoś z "sąsiedztwa". Okazało się, że na innym okręcie alianckim, znajdującym się w pobliżu, był oficer angielski, który znał "Błyskawicę" z Morza Śródziemnego. Więc przysłał pozdrowienia dla nas. Odpowiedzieliśmy mu serdecznie.

Tuż koło lewej burty ukazały się na wodzie połamane deski, ropa i jakieś pakuły, wśród których leżał na fali trup człowieka, ubranego w granatowe spodeńki i pasiastą koszulkę, jakich często używają marynarze. Napuchł już nieco od wody . . . Minęliśmy nieszczęśliwca, aby iść dalej i znowu wpatrywać się w ląd, który już się był zaciągnął mgłą i deszczem, podcinającym z ukosa.

Pancerniki-olbrzymy majestatycznie wyrastały ponad ogromną ilość krążowników i kontrtorpedowców, których nawet nie usiłowałem policzyć — tyle ich było. A wśród okrętów posuwały się i stały na kotwicach statki i barki, holowniki, ciągnące tratwy i jakieś niewiadomo skąd przybyłe motorówki, uwijające się szybko w potężnym zgrupowaniu okrętów i statków.

Dowódca sektoru morskiego pozdrowił sygnałem Naczelnego Wodza, wyznaczając "Błyskawicy" miejsce i zapraszając gen. Sosnkowskiego, aby zechciał tu spędzić noc i udać się nazajutrz do Normandii. Naczelny Wódz przyjął zaproszenie, po którym nastąpiły wizyty, trwające do wieczora.

Oczywiście, że ledwie tylko Naczelny Wódz przyjął zaproszenie zwiedzenia Normandii wyzwolonej, znalazłem się tuż obok, prosząc, aby zabrał mnie ze sobą.

—Pan pewno pojedzie z Panem Generałem na ląd? — zapytał młody zakopiańczyk.

—Jeszcze nie wiem, ale oczywiście zrobię wszystko, aby pojechać.

—Mam do pana prośbę: niech mi pan przywiezie kwiatek z brzegu Francji. Zwyczajny, polny kwiatek, albo po prostu jedną trawkę, lub listek . . .

Na pokładzie stała cała grupa marynarzy. Jeden z nich, nie mający z Francją nic wspólnego — podszedł do mnie z tą samą prośbą. Wieczorem w messie kapitan-mechanik stwierdził całkiem dla mnie nieoczekiwanie:

—Będzie pan frajer, jeżeli nie pojedzie z Naczelnym Wodzem na ląd. Niech mi pan przywiezie kilka kwiatków, albo zieleni. Chcę to dać moim znajomym paniom, które prosiły wszystkich marynarzy o przywiezienie kwiatów z Francji. Składa się tak, że chyba będę pierwszy . . .

Mgła pogrążyła nas w gęstej wacie, poprzez którą nie było widać nic — nawet gwiazd. I nic przez tę gęstą zasłonę mgły nie mogło się przebić. Chyba tylko niespełniona tęsknota, chyba tylko miłość najserdeczniejsza, która kazała marynarzom wzdychać w wieczornej ciszy podczas patrolów ku niej — uwodzicielce urocznej — ku Francji.

JADĘ NA LĄD

Wieczór pod brzegami Francji zakończył się późno. Naczelny Wódz chodził długo po pokładzie i po pomieszczeniach marynarskich, póki marynarze mogą palić światło. Potem przyszedł do messy na rozmowę z oficerami. Przysłuchiwałem się rozmowie, która dotyczyła w gruncie rzeczy tylko spraw morskich.

Naczelny Wódz spojrzał na skromne ściany messy i wstał. Zainteresowała go niewielka szafka, w której znajdowały się rysunki. Jest to historia "Błyskawicy" w obrazach. Ale trzeba wiedzieć, że "Błyskawica" należy do tych rzadkich okrętów Rzeczpospolitej, które pamiętają Gdynię i Oksywie.

Historia "Błyskawicy" nie jest specjalną atrakcją z tego względu, że powtarza się w niej ciągle to samo: atak okrętów podwodnych, atak samolotów nieprzyjacielskich, ratowanie rozbitków — no i znów atak lotniczy, ustępujący miejsca nowemu atakowi niemieckich okrętów podwodnych. Są jednak i całkiem inne momenty. Oto mały rysunek przedstawia pożegnanie z Afryką. Kontrtorpedowiec pod polską banderą to "Błyskawica", na brzegu zaś wielka budowla, w miarę możności stylizowana na "marokański arabizm". Na niej napis głosi dowcipnie: "SCHRONISKO IM. KRÓLOWEJ JADWIGI" — "SZUKASZ ŻONY — WSTĄP NA CHWILĘ". Dwie małe dziewczynki na brzegu powiewają okrętowi chusteczkami. To "tubylcze" dziewczynki. Jedna płacze, druga zaś trzeźwo podchodzi do życia i odejścia "Błyskawicy". Dowodem tej trzeźwości jest trzymana pod pachą książka "Małżeństwo doskonałe".

Śmiejemy się również z kilku innych obrazków, mających dla wszystkich związanych z "Błyskawicą" znacznie więcej, niż dowcip — mających łezkę rozczulenia, towarzyszącego zawsze przebieganiu własnych wspomnień.

Przysłuchuję się rozmowom i patrzę. Ale w gruncie rzeczy myśl mam całkowicie pochłoniętą drobnym szczegółem. Tuż nad głową Naczelnego Wodza wisi fotografia. Jedyna, jaką mamy w messie "Błyskawicy". Wisi od dawna, patrząc na wszystkich i wszystko głębokim spojrzeniem spod bujnych, krzaczastych brwi. Lekko pochylona głowa zdradza zadumę, zmarszczkami opadającą na czoło i na dobrą, kochaną twarz. Długi wąs pokrywa wargi, które na tej fotografii nie uśmiechają się . . .

I nie mogę oderwać oczu od tego symbolicznego widoku. Komendant i Szef. Szczęśliwy, zwycięski Pierwszy Marszałek Polski i obecny Naczelny Wódz.

Nazajutrz gen. Sosnkowski powiedział mi, że bardzo mu przykro, ale nie chciałby mnie ze sobą zabierać, bo "jakże to będzie wyglądało, jeżeli przyjedzie na brzeg francuski z korespondentem wojennym? Ja nie chcę robić sobie żadnej reklamy" . . .

Na przekonywanie nie było już czasu, bo właśnie wchodził generał angielski, który miał towarzyszyć gen. Sosnkowskiemu podczas wizyty na brzegu francuskim. I tu przyszedł mi z odsieczą dowódca "Błyskawicy".

—Mamy na pokładzie polskiego korespondenta morskiego. Sądzę, że będzie mógł towarzyszyć Naczelnemu Wodzowi.

—Naturalnie — odpowiedział Anglik.

Jadę na brzeg Normandii! I chociaż chwila jest do tego najmniej odpowiednia, odczuwam wyraźną radość /mój Boże — słabość ludzka/, że jestem pierwszym polskim korespondentem wojennym, który będzie we Francji.

—Niech pan nie zapomni o kwiatach — doleciało mnie, kiedy byłem już na trapie.

Nie wiem, kto to powiedział.

"LA DOUCE ET BELLE"

Najciekawsze rzeczy widziałem na morzu. Ale pisać o nich nie będę, bo jeszcze nie czas pisać o tym, jak wygląda morze tuż pod brzegami Normandii. Myślę też, że już wkrótce, kiedy Niemcy będą odparci na dostateczną odległość, napiszę.

Jedno mogę napisać już dzisiaj: widziałem p o t ę g ę. Nie chciałbym, aby mój Czytelnik odnosił to określenie jedynie do ilości okrętów, statków czy sprzętu. Bo to jeszcze nie jest potęga. Dla mnie potęgą jest ten niesłychany wysiłek organizacyjny Aliantów, który pozwolił im przemyśleć najdrobniejsze szczegóły, bez których absolutnie nie można sobie wyobrazić powodzenia tej potężnej operacji.

Po drugiej — niemieckiej — stronie nie widziałem żadnej potęgi. Widziałem duże bunkry na normandzkiej plaży. Przypominały mi one wybrzeże szkockie w roku 1940-ym. Jeżeli to miał być wał atlantycki, twierdzę, że w Szkocji w r. 1940-ym obrona wybrzeża nie była gorsza. Oprócz bunkrów, zaopatrzonych w ciężką broń maszynową i przeciwpancerną, oprócz nieodzownych dla każdego bunkra peryskopów, na plaży widziałem zwoje i zasieki z drutu kolczastego, biegnące od jednego bunkra do drugiego. Za zasiekami zaczynały się pola minowe.

Czy to jest t.zw. "wał atlantycki" — nie wiem. Sądzę, że nie. Bo nie mogę uwierzyć, aby te drobne przeszkody w przesadnej terminologii Goebbelsa urastały do miana "fortyfikacyj". Widocznie po prostu na tym odcinku Niemcy nie spodziewali się ataku, skoro nie zbudowali nic więcej.

Za plażą zieleniły się lasy i pola. Za plażą zaczynała się *"la douce et belle France"* /słodka i piękna Francja/. Gdy samochód wydostał się na drogę, pierwsze wrażenie moje było ponownym dopuszczeniem do świadomości faktu, że jestem w Europie. Oto po lewej stronie drogi zauważyłem liczne napisy: "DRIVE ON YOUR RIGHT". I myślę, że mi niejeden z Czytelników zazdrości, iż jeździłem prawą stroną . . . Drobiazg to, ale i wielka przyjemność zarazem.

Sianokosy były już skończone. Po obu stronach drogi stały zmoczone wczorajszym deszczem kopy siana. Ludzie uwijali się przy okopywaniu ziemniaków, zaczynających kwitnąć. Byli poważni, ubrani tak, jak zawsze rolnicy przy pracy byli ubrani we Francji. Różnicy nie zauważyłem żadnej.

Natomiast w wioskach, osiedlach, miasteczkach i miastach różnica w ubraniu jest aż nadto widoczna. Zwłaszcza zaś u kobiet. Zginął przysłowiowy szyk francuski. Kobiety są ubrane nędznie, wszyscy przechodnie, których spotykałem, mają twarze wyblakłe i ziemistą cerę — nędzę widać nawet z pierwszego rzutu oka.

Jej pierwszym objawem są buty na drewnianych podeszwach — oszczędnościowe obuwie wojenne, wprowadzone przez Niemców. Nie są to jednak "sabots" francuskie. "Sabots" używają rolnicy i dzisiaj podczas pracy w polu.

Większość sklepików i sklepów jest zamknięta. W wielu z nich mieszczą się przeróżne kantyny angielskie i kanadyjskie /na tym odcinku, który zwiedzałem nie było oddziałów amerykańskich — przyp. autora/, w których ludność miejscowa również może się zaopatrywać. Tak sądzę, bo widziałem przed okienkiem takiego sklepiku-kantyny kilka kobiet.

Kwestia zniszczeń jest na pewno bardzo względna. Na odcinku, który zwiedzałem, zniszczeń nie ma. Jednakże oficer angielski jeszcze na brzegu uprzedzał, że jedziemy do najmniej zniszczonej części, oraz, że tuż obok niektóre osiedla zostały zrównane z ziemią. Rzecz prosta — w każdej wiosce i w każdym osiedlu widać ślady wojny. Ale ograniczają się one jedynie do gruzów po nielicznych domach, lub nawet tylko do podziurawionych dachów.

Mimo to wszędzie się wyczuwa, że życie nie wróciło jeszcze do normalnego trybu. Wprawdzie rolnicy uprawiają swoje pola, wprawdzie w miasteczkach kobiety noszą w koszyczkach jakieś sałaty i zawiniątka, jednak za mało śmiechu i uśmiechu widziałem na twarzach Francuzów, abym nie wyczuł, iż jeszcze nie wszystko wróciło do normy.

W jednym z większych miast sklep masarski świeci pustkami, chociaż jest przedpołudnie i chociaż w sklepie wisi mnóstwo smakowitych, wielkich kawałów mięsa. Czy ceny są za wysokie, czy też ludność zbyt wybiedzona — nie wiem. Wychodzi i tak na to samo.

Trójbarwne sztandary francuskie powiewają nad domostwami, dzieci kiwają przyjaźnie do nieustannie przejeżdżających ulicami samochodów wojskowych. Dzieci są czyste i schludne, ale i u nich zauważam obuwie na drewnianych podeszwach.

Ciekawe, że w czasie kilkogodzinnego objazdu Normandii nie widziałem odnowionych domów. A jestem pewien, że poodpadanych tynków nie można przypisać działaniom wojennym, bo w tych samych domach nie ma innych śladów któreby o tych działaniach świadczyły.

Widok brudniejszych, niż przed wojną ulic i domów, sprawia, że ogólne wrażenie można określić mianem zaniedbania. Potwierdza się to również i w obserwacji ubrań. Mężczyźni są mniej zaniedbani, kobiety — więcej.

Cechą znamienną jest w Normandii całkowity brak ruchu cywilnego. Na szosach nieustannie spotykałem samochody wojskowe, ciągnące niekończącymi się kolumnami. Porównując ruch na szosach normandzkich z ruchem, jaki widziałem we Francji w 1940-ym roku — twierdzę, że obecnie szosy są bardziej zapchane. Nie będzie nawet cienia przesady, jeżeli powiem, że właściwie nie sposób jest odróżnić jednej kolumny wojskowej od drugiej. Łączą się ze sobą, ciągnąc p r a w ą stroną ku linii frontu, która jest blisko.

Otóż cywilnego ruchu nie ma prawie wcale. Przez cały czas nie spotkałem ani jednego samochodu prywatnego. Spotkałem zaledwie kilka wozów dwukołowych, ciągnionych przez konie. I spotkałem bardzo wiele ręcznych taczek, pchanych najczęściej przez dzieci. Zjawisk takich we Francji, którą znam całkiem dobrze, nie spotykałem przed wojną nigdy. Dowodzą one niewątpliwego, wielkiego zubożenia.

A jednak przy całym zubożeniu urok Francji jest nieśmiertelny. Nie umiem wytłumaczyć na czym polega. Może na słońcu, które jest inne, może na budownictwie i niedbale kwitnących, pięknych różach. Może zresztą całkiem na czym innym — nie wiem. Wiem, że patrząc na pola, zranione świeżo wbitymi trzonami drzew, które miały według obliczeń niemieckich uniemożliwić lądowanie samolotów sprzymierzonych, czuję się w innym świecie, niż ten — jakże kulturalny świat — w którym przebywam od lat czterech.

Wiem, że las francuski, których kilka spotykamy po drodze — pachnie lasem, a wieś — świeżo skoszonym sianem, a nie nudą. I wiem, że maki, czerwoną plamą rozsiadłe w owsach, są mi bliskie.

I tam — w Normandii — zwolna zaczynam rozumieć, dlaczego na okręcie proszono mnie o kwiaty z francuskiej ziemi. Zaczynam rozumieć, że na miłość nie ma lekarstwa — na miłość ślepą i trwałą i mądrą w najwyższej wyrozumiałości. Myślę, że dla nas Polaków prawie powszechna jest właśnie taka miłość Francji, niezależna od rozumu, ani od wzajemności.

W tym przekonaniu pochylam się, aby zerwać garść żółtych kaczeńców tuż przy plaży normandzkiej. Zawędrują one na okręt, na O.R.P. "Błyskawica".

JANUSZ LASKOWSKI

Z Polski Podziemnej

Walka w osłonie

Już od godziny przeszło trwa "gra" na punkcie w R. Maleńki radioaparat nadawczo-odbiorczy klekocze cicho na stoliku w głębi pokoju. Sygnały "Morse'a" niosą szyfrowany tekst depesz wojskowych, gdzieś do jakiejś pośredniej stacji Armii Polskiej w Algierze, Kairze czy Marokku. Technik schylony nad aparatem wie tyle, że żądana stacja zgłosiła się, że trzeba jak najszybciej "wyrzucić" cały materiał własny i przejść z kolei na odbiór, przyjąć informacje i rozkazy dla Armii Krajowej.

Pośpiech, pośpiech. Każdej chwili można się spodziewać "podjazdu" niemieckiego. Jak zawsze w tej służbie. Niemieckie stacje podsłuchowe i pomiarowe pracują bez wytchnienia. Łowią fale uruchomionej radiostacji, ustalają położenie i alarmują "podjazd" samochodowy. Nim nadejdą, nim instrumentami magnetycznymi zdołają odszukać stację w przybliżeniu — "gra" musi być skończona.

To, że "podjazd" zjawi się niebawem, jest pewne. Niemiecka służba radiowa i jej wywiad, tropią polskie stacje zaciekle i niezmordowanie. Te stacje — to uszy i usta Polski Podziemnej. Bez nich walczący Kraj byłby głuchoniemy zaiste.

Nadać . . . przyjąć . . . uskoczyć. Oto gra. Sekundy decydują. Na szczęście nie zawsze można liczyć. Stawką w tej "ciuciu-babce" jest życie. I więcej, niż życie.

Klucz aparatu klekocze pośpiesznie. "Wyrzut" dobiega końca.

Za oknem pokoju — słoneczny ranek marcowy. Przy oknie trzech ludzi z bronią w ręku. Patrol O. S. Osłona. I co za patrol. To ci sami "morowcy", którzy niedawno zlikwidowali niemiecką stację pomiarową, ukrytą w fabryczce na Gocławku. Ta stacja, wyposażona w przeszło 30 najprecyzyjniejszych aparatów, ciężko dawała się we znaki łączności Kraju z zagranicą. Opanowano ją, kładąc trupem specjalistów niemieckich. Prawdziwie w ostatniej chwili. Na trzy dni przed terminem przeniesienia jej na Poznańską /Cent. Telekomunikacyjna/. Dla Niemców była to strata niepowetowana. Berlińska fabryka aparatów pomiarowych leży w gruzach . . .

"Wyrzut" skończony. Teraz — odbiór.

Ale wtem . . . z pustej ulicy nadlatuje warkot motorów. Zbliża się. Urywa. Tuż — tuż. — Podjazd? . . .

Huk piorunujący. Szyby dygocą, tynk sypie się na głowy i aparat. Podjazd . . . Czujka wybuchem granatu alarmuje radiostację i zatrzymuje nadbiegających Niemców. Cofa się z ulicy do domu. Wbiega na piętro. Łańcuch zielonych mundurów rozsypuje się wśród małych kamieniczek. Z okna szczytowej ściany widać obydwie ulice, od frontu i oficyny. I tu i tu podsuwa się łańcuch obławy.

Zdrada? . . . Niemcy obstawiają dom, jakby polowali na upatrzonego. Tym razem byli szybsi. Jedna grupka podbiega pod okno. Wyrywają granaty zza pasów.

—Precz z pokoju — woła dowódca osłony.

Klucz aparatu rzuca ostatni sygnał w przestrzeń. Dramatyczny znak: "Jestem zagrożony, koniec rozmowy". Ktoś daleki, o setki i tysiące kilometrów drgającą ręką zanotował te słowa . . .

Technik zrywa się od aparatu. Jego zadanie skończone. Głos ma już tylko osłona.

Niemcy wtargnęli do domu. Łomocą podkute buty po schodach, po korytarzu.

Dowódca osłony, ciągnąc technika za sobą, przebiega z pokoju do kuchni. Przypadają do ścian po obu stronach drzwi. Reszta osłony przyczajona w pokoju.

Potężny cios kutych butów wywala drzwi z zawiasów. Przez rozbite deski wsuwa się czerwona łapa. Strzał. I łapa zwisa, trafiona kulą technika. Zamieszanie i wrzaski. Nie wejdą.

Dowódca osłony podaje granat ręczny. Sam mierzy z pistoletu maszynowego. Granat leci na korytarz. Najpierw pośpieszny łomot ucieczki, a potem ogłuszający huk. Spóźniony. Niemcy, porwawszy rannego ze sobą, zdążyli zwiać. Dowódca osłony i technik wypadają za nimi. Serią z pistoletu maszynowego spędzają ich ze schodów.

Wtem . . . Trzęsienie ziemi? . . . Potworne eksplozje zdają się rozrywać dom w strzępy. Huraganowy podmuch rzuca ludzi na ścianę. Sufity walą się w obłokach kurzawy wapiennej.

To Niemcy atakują granatami ręcznymi. Kilka pocisków gruchnęło w okno. Wybuchy rozniosły w drzazgi wszystkie sprzęty. Ściany popękane. Wszystko tonie w dymie i kurzawie. Trzech ludzi leży na podłodze. Osłona. Zginęli? . . .

Nie. Wszyscy nietknięci. Rozrzut wybuchów nie dosięgnął leżących. Zerwali się. Jeden rzuca się do wywalonego okna i ciska granat w kupę Niemców. Nic już — ogłuszeni eksplozjami — nie słyszą. Granat pęka jakby bezgłośnie, snopem ognia i dymu rozszarpując jednego SS-Manna. Reszta zmyka z dziedzińca na ulicę. Gęsty ogień karabinowy masakruje ściany zewnętrzne. Zanosi się na odcięcie odwrotu.

Przebojem. Patrol opuszcza zrujnowany pokój. Strzaskanego radioaparatu nie sposób odnaleźć w rumowisku gratów. Stacja skończyła służbę.

Technik i dowódca wymietli Niemców z frontowej strony dziedzińca. Pod osłoną drewnianej szopy biją w głąb ulicy, szukając kulami zielonych mundurów. Pod parkanem leży już jeden poległy. Ale i Niemcy mocno naciskają. Kule praskają o kamienie. Tępo, jak przez grubą watę słychać wybuchy granatów. Zbłąkany odłamek dosięga jednego z ludzi osłony. Rana biodra.

Przebojem.

Obydwie ulice, biegnące równolegle obstawione obławą. Jedyna droga — dziedzińcami i ogródkami pod dwustronnym ostrzałem. Ale nie ma wyboru. Dwu ludzi osłania technika. Z pistoletami w dłoni biegną, odstrzeliwując się na boki.

Dowódca został. Walczy o życie rannego kolegi. Jest to walka beznadziejna. Ranny nie zrobi ani kroku. Zginą więc razem, broniąc się do ostatniego naboju, kładąc trupem dwu jeszcze Niemców.

Skok za skokiem, wśród płotów, sznurów z bielizną, młodych drzewek reszta patrolu wyrąbuje drogę swojemu "grajkowi". Z najzimniejszą krwią prą naprzód. Cichnie za nimi zgiełk śmiertelnej, ostatniej walki ich dowódcy.

Wtem, gdy mają przed sobą już tylko przecznicę i kompleks koszar niemieckich, zza małej budki wyskakuje prosto na nich jakiś SS-Mann z karabinem. Rozdygotany smarkacz. Bełkocze coś. Pistolet osłony jest szybszy. Dwa . . . klapnięcia. Broń nie wypala obu przeciwnikom. I Niemiec rzuca się do ucieczki. Luka. Rzuca się w nią żołnierz z osłony. Sam. Tamci skręcili między budynki. Ten jest uratowany.

"Grajek" zasłonięty rozwieszonymi pierzynami wbiega do szopy. Jego pistolet jest pusty. Oba magazyny wystrzelone. Kryje się na stryszku. Widzi stamtąd drugiego towarzysza idącego w ślady pierwszego, który się przedarł. Sam już nie zdąży. Może tylko czekać. Na śmierć.

Dopiero teraz czuje, że jest ranny, że noga krwawi obficie. Ale oto Niemcy nadchodzą. Przetrząsają domy, wypytują mieszkańców. Nie, nikt uchodzących nie widział /nie chciał widzieć/. Słychać rozmowę w sieni o parę sążni od kryjówki rannego. Niemcy mogą szukać na stryszku. Czy boją się, czy nie chcą zbyt wiele ryzykować, czy wierzą zeznaniom gospodyni — oddalają się. Szukają dalej. Wracają. Odchodzą wreszcie.

Ten moment trzeba wykorzystać. Ranny schodzi. Jest cisza zupełna. Półtorej godziny upłynęło /nie do wiary/ od początku walki. Patrol osłony stracił dwu dzielnych ludzi; Niemcy czterech zabitych, dwu rannych, dwu dogorywa.

Przebrany w czapkę mundurową przez kogoś odważnego podaną, ranny technik przemyka się pustymi ulicami za plecyma obławy. Czeka go jeszcze 6 km. bolesnej drogi.

O tej chwili szereg innych radiostacji Armii Krajowej śle zwykły serwis zagranicę. Niebawem podadzą może krótki raport o walce w R., 5.III.44 r. Szyfrem zasalutują pamięć poległych z patrolu osłony.

ŻOŁNIERZ ARMII KRAJOWEJ

Polska Podziemna mówi

W drugim roku wojny Niemcy zainstalowali w Warszawie w najbardziej ruchliwych punktach miasta 17 potężnych megafonów ulicznych. Cztery razy w ciągu dnia nadawane są przez te megafony — popularnie zwane w Warszawie "szczekaczkami" — audycje propagandowe po polsku. Dzień w dzień usiłują Niemcy, bez najmniejszego skutku, przekonać ludność stolicy, że Anglicy i Amerykanie zaprzedali Polskę i że Polakom nie pozostaje nic innego, jak włożyć potulnie głowę w niemieckie jarzmo.

Warszawiacy chętnie się gromadzą koło megafonów w momentach, gdy niezwyciężalne armie niemieckie dostają w skórę na froncie. Przyjemnie jest słuchać o "elastycznej obronie", "zwycięskich operacjach w tył" lub o "pomyślnej ewakuacji" jakiegoś ważnego miasta, "bez przeszkód ze strony nieprzyjaciela". Zwłaszcza, gdy się doskonale wie z prasy podziemnej i z odbijanych na powielaczu komunikatów radia brytyjskiego, jak naprawdę wyglądają te "sukcesy obronne". W momentach natomiast, gdy karta odwraca się chwilowo na niekorzyść Sprzymierzonych — frekwencja pod "szczekaczkami" znacznie się zmniejsza.

Każdą audycję poprzedzają hałaśliwe niemieckie marsze wojskowe. Następnie dla przynęty nadawany jest hejnał z Wieży Mariackiej w Krakowie. Często bardzo przez megafony czytane są zarządzenia szefa Policji, w których mowa jest o kontrybucjach, egzekucjach, wysiedleniach. Nazwiska ofiar rozstrzelań publicznych odczytywane są nieraz poprzedniego dnia z obietnicą "ułaskawienia" o ile ich rodziny wskażą władzom niemieckim członków ruchu podziemnego.

Zdarza się również, że "szczekaczki" milkną na dzień lub dwa, jak mówią Niemcy później z "przyczyn technicznych". Przyczyny techniczne są bardzo różne. Na przykład na jedno z największych targowisk warszawskich przyszło w biały dzień kilku monterów z narzędziami, dwóch z nich zaczęło się wdrapywać na słup, na którym umocowany był głośnik, pomajstrowali kilka minut i po dokonaniu "reperacji" schowali narzędzia i odeszli. O zwykłej porze, kiedy odbywa się audycja — "szczekaczka" milczała. Następnego dnia publika na placu zaczęła się dziwić: — "Goebbels ozór zwichnął, czy co"? — pytano się wzajemnie. A dopiero trzeciego dnia okazało się, że kabel "szczekaczki" jest przecięty a w megafonie brakuje membrany.

Przewidując sabotaż na większą skalę Niemcy zainstalowali w Pałacu Brühla specjalną lampkę alarmową, palącą się dzień i noc. W wypadku włączenia się na kabel łączący "szczekaczki" ze studio, lampka gasła, równocześnie zaś rozlegał się dzwonek alarmowy.

W letnie upalne południe przechodziłem przez plac Trzech Krzyży, gdy z pobliskiego megafonu zamiast zwykłych melodii niemieckich rozległy się dźwięki marsza generalskiego. — Co u diabła — pomyślałem — czy marsz generalski także Szwaby skomponowały? I mimo woli zatrzymałem się, gdyż przed oczyma stanęło mi wspomnienie rewii z 3-go maja na Placu Marszałka. Nagle rozległy się słowa:

"TU MÓWI POLSKA PODZIEMNA"

Wrażenie było wstrząsające. Ze wszystkich stron placu, z przyległych ulic i domów zaczęli biec ludzie. Wyskakiwano w biegu z przejeżdżających tramwajów. W mgnieniu oka koło megafonu powstał ogromny tłum. We wszystkich oczach utkwionych w głośnik, malowało się nieopisane podniecenie. A z głośnika rozległy się zdania krótkie i mocne, zachęcające do wytrwania i walki, krzepiące a równocześnie przestrzegające przed niebezpieczeństwami, jakie czyhają jeszcze na Polskę i Polaków. Audycję zakończyło zawołanie:

"POLSKA ŻYJE", "POLSKA WALCZY", "POLSKA ZWYCIĘŻY".

I poprzez okupowaną przez Niemców Warszawę — w czwartym roku niewoli popłynęły dźwięki "Jeszcze Polska Nie Zginęła".

W tej samej chwili zaalarmowane lampką w Pałacu Brühla mknęły przez miasto w szalonym pędzie samochody wypełnione po brzegi zbirami "Gestapo". Lecz pod "szczekaczkami" nie było już nikogo. Słuchacze rozbiegli się, unosząc w sercach dziwne, nie dające się opisać wzruszenie.

JAN NOWAK

Z "PIEŚNI ZBROJNYCH"

NAPRZÓD DO BOJU ŻOŁNIERZE!

Naprzód do boju, żołnierze,
Polski Podziemnej. Za broń!
Boska potęga nas strzeże
Woła do boju was dzwon.

Godzina pomsty wybija
Za zbrodnie, mękę i krew,
Do broni! Jezus Maryja! bis.
Żołnierski woła nas zew.

Zorza wolności się pali
Nad Polską idących lat.
Moc nasza przemoc powąli
Nowy dziś rodzi się świat.

Godzina pomsty wybija i t.d.

Za naszą Wolność i Waszą
Bracia, chwytamy za miecz
Śmierć, ani trud nas nie straszą,
Zwycięski Orle nasz leć.

Godzina pomsty wybija, i t.d.

A ZA TWOJE BRACIE TRUDY . . .

A za twoje bracie trudy,
A za twoją bracie krew,
Wyrwie gestapowiec butem
Krzyk ci z rozmiażdżonych trzew.

A za twój wolności raport
Obwieszczany iskrą w noc,
Hej, poczujesz rękę "kapo"
Jego kija twardą moc.

A za granat twój w uliczny
Podrzucony ślepy dół,
Hej, zatańczysz z szubienicy
Kruk ci będzie oczy kłuł.

PIOSENKA

Hej! wesoło wicher świszczy
Koło szubienicy.
Śmiej się i zacieraj ręce
Niemcze na ulicy.

Wczoraj na tej szubienicy
Polak zuch zawisnął.
Zanim skonał, słowem "Polska!"
W twarz ci Niemcze cisnął.

Jutro na tej szubienicy
Pewno ty zawiśniesz.
Posłuchamy jak się swoim
"Heil Hitler" zachłyśniesz.

/Powyższe utwory pochodzą ze zbioru "Pieśni Zbrojne", wydanego w Warszawie w kwietniu 1943 r. z przeznaczeniem dla żołnierzy Armii Krajowej./

W magicznym kręgu

Awansując ze stanowiska oficera wydziału politycznego "Gestapo" na lukratywną synekurę dyrektora Komis. Zarządu Nieruchomości w Warszawie, Gustaw Fleming nie przestał być urodzoną kanalią policyjną, w dodatku — typu tajniaka.

Taił się wszelkimi sposobami. Biuro obwarował, obsadził wartami, stworzył całą metodykę inwigilacji, kontroli i ubezpieczenia wewnętrznego. Pamiętając los swego dawnego szefa z "Gestapo", Lechnera, zabitego w Alei Szucha w Warszawie — i już dwa zamachy na siebie, nigdy nie chodził pieszo, zawsze wjeżdżał samochodem w strzeżoną bramę gmachu biurowego, od strony Długiej, zazwyczaj zamkniętą na głucho.

Właściwe wejście do biur prowadzi od strony Podwala. Tędy właśnie, wśród licznych interesantów weszło 20 stycznia br. w południe pięciu klijentów, na pozór nie wiedzących o sobie nawzajem.

Dwaj skręcali w korytarz wiodący do gabinetu dyrektora Fleminga. Właśnie do niego mieli osobisty interes. O tyle pilny, że nie chcieli czekać, aż zastępca szefa, wicedyrektor Oldenburg opuści gabinet dyrektora. Starzy znajomi przecież . . . /Tak, sześć miesięcy chodzili za nim i to diablo natarczywie czasem/.

Sekretarka, oddana i szczwana współpracowniczka szefa, zawahała się wobec stanowczości interesantów. Ale zwąchała widać coś podejrzanego. Zapukała do drzwi, zajrzała, rzuciła dwa słowa . . .

W tej chwili, odgarnięta na bok potężnym ramieniem, ujrzała nad sobą zniżającą się lufę pistoletu. Szarpnęła się raz jeszcze, ale już buchnęły cztery wystrzały.

Fleming wiedział. Zerwał się od biurka z pistoletem w dłoni. Nim podniósł broń — świsnęły kule od drzwi. Niemiec schylił się kurczowo i runął na podłogę. Jego zastępca i szef personalny, Oldenburg, stał znieruchomiały, patrząc jak stalowa broń zwraca się w jego stronę. I znów cztery trzaski i znów rumor padającego ciała.

Strzelec L. przebiegł od drzwi przez ogromny gabinet do biurka, za którym leżał Fleming. Niepewny pierwszych strzałów jeszcze trzy razy nacisnął spust, mierząc w brzuch Niemca.

Echo jedenastu wystrzałów huczących potężnie w rozległym, narożnym pokoju, zerwało całe biuro na nogi. Kto żyw rzucił się do drzwi. Z jednego gabinetu wypadło dwu oficerów SS z bronią w ręku.

Ale już od pierwszego grzmotu — w hallu błysnęła groźna lufa "rozpylacza" i wszystkie ręce skoczyły w górę. Pistolety oficerów niemieckich stuknęły głucho o podłogę korytarza. Wylot pistoletu maszynowego zdawał się patrzeć we wszystkie oczy.

Blisko 50 osób, urzędników i interesantów, stłoczonych posłusznie pod ścianami, wzdrygało się jednym dreszczem przy każdym huku z gabinetu Fleminga. Drugie tyle tkwiło bezradnie pod pistoletami w hallu pierwszego piętra, a na parterze — w otwartych drzwiach wejściowych stał nowy przybysz z ulicy z granatem ręcznym, grożąc przerażonemu tłumowi.

Na schodach jakiś oficer niemiecki, schodzący z cywilnym towarzystwem natknął się również na wymowną broń i stanął grzecznie, kręcąc głową z bladym uśmiechem.

Po strzałach nastała śmiertelną cisza. Spokojny, zimny głos radził z nad lufy nie ruszać się. I przeszło 100 osób jakby zaczarowanych tkwiło w martwym kręgu lęku.

Potem dwu ludzi z pistoletami w garści przeszło wzdłuż szpaleru wybladłych widzów i znikło. Pistolet maszynowy zatoczył jeszcze jedno magiczne koło i cofnął się po schodach groźnymi lśnieniami.

Czas trwał. I na pierwszym piętrze. I na parterze prysnął, gdy jakiś narwany gość pchający się pod lufę, dostał kopniaka tak potężnego, że przeleciał przez hall i głową wywalił drzwi od gabinetu.

I za sześciu zbrojnymi zamknęły się drzwi. Byli w tym gmachu osiem minut. Od pierwszego strzału minęły trzy minuty. Na ulicy nikogo. Nawet warty znikły.

Nie to było dziwne. Dziwny był traf, że Fleming . . . żył. Pierwsze cztery strzały padły w czasie szamotania się z sekretarką. Żaden nie trafił. Fleming zwalił się umyślnie, żeby się ratować. Oldenburg zginął na miejscu. Ostatnie trzy strzały ciężko zraniły Fleminga, ale nie śmiertelnie. Urodzony tajniak — raz się jeszcze przyczaił. Ostatni raz chyba.

ŚWIADEK

Armia Krajowa żyje, szkoli się, walczy



Msza polowa w pobliżu Nowogródka



Poświęcenie sztandaru 23 pułku "Wołyń"



Działanie piechoty pod Nowogródkiem



Stanowisko ckm. — żołnierze w polskich hełmach



Przygotowanie posiłku w kuchni obozowej



Zabieg chirurgiczny pod gołym niebem



Składanie i rozbieranie broni z zawiązanymi oczami



Próba karabinu maszynowego systemu Browning nr. 38

Tam, gdzie "rodzą się" marynarze

Trzydzieści kilka murowanych, schludnych baraczków, symetrycznie ustawionych wzdłuż asfaltowanej drogi, nakrytych dachami z falistej blachy, z jednakowymi zielonymi "black-out'ami" w oknach. Każdy barak ma oświetlenie elektryczne, swoją umywalnię z bieżącą wodą, swój składzik na węgiel i betonowy śmietnik. Do każdego baraku prowadzi porządnie żużlem wysypana ścieżka. Na placu przed barakami — maszt z gaflem, na którym powiewa biało-czerwona bandera. Obóz Szkolny Marynarki Wojennej.

Jest godzina 11,30 i właśnie od strony bramy wjazdowej maszeruje powracająca z ćwiczeń Kompania Szkolna. Marynarze w granatowych "kombinezach", w pasach, z karabinami przyciągniętymi do ładownic, maszerują równym żołnierskim krokiem.

"Odtrąbiono!" — karabiny zniżają się, jak za pociągnięciem sznurka. "Kompania śpiewa!" — pada dalsza komenda. I zaraz z pierwszych szeregów podrywa się ulubiona piosenka:

Morowa marynarska wiara,
Szczęsny jej życia los —
Nie to, co z lądu armia szara,
Która ma pusty trzos . . .

i zaraz dalsze szeregi podchwytują refren:

Marynarz w noc się bawi,
W hamaku we dnie śpi,
Czy to na Bałtyku,
Czy na Atlantyku,
Ze złego losu drwi . . .

Stara, poczciwa piosenka, która przywędrowała tu z nami z Polski. Śpiewały ją różne "kompanie szkolne" jeszcze w Świeciu, kiedy tam mieściła się Kadra Marynarki, śpiewały i późniejsze rekruckie pokolenia w Gdyni. Śpiewała ta "marynarska wiara", śpiewała i . . . "ganiała", /pod tamto drzewo — biegiem marsz! Na to i tamto — padnij! Na to i owo — siad!/, gdy pan szef i "szczęsny jej życia los" tak kazał . . . Śpiewa więc i dzisiaj "*somewhere in England*" . . .

A ułożył tę piosenkę na pewno jakiś rekrut-ochotnik, zanim został po raz pierwszy zaokrętowany. Bo inaczej nie wyrywałby się z tym spaniem we dnie — wiedziałby czym to pachnie na okręcie, taki niezwinięty hamak po pobudce . . . Zaś żołd nasz wcale nie jest większy, niż w armii, która — według słów piosenki — ma "pusty trzos" . . .

Ale w piosence, jak to w piosence — wszystko jest ładne, miłe i beztroskie. I pewnie dlatego ta piosenka jest lubiana, że tak bardzo do rzeczywistości, do prawdziwego marynarskiego życia — niepodobna.

* * *

Utarło się powiedzenie "urodzony marynarz". Ludziom, żyjącym normalnym "lądowym" trybem życia, rzuca się w oczy kilka pozornych i czysto zewnętrznych cech człowieka pracującego na morzu. Ta jego odmienność, odrębność sposobu reagowania na zjawiska życia lądowego, wywołała wrażenie, że marynarzem może być tylko jakiś specjalnie urobiony typ człowieka — jednym słowem, że marynarz musi się już "urodzić" marynarzem . . .

Oczywiście tak nie jest. Na statki handlowe, na okręty wojenne, do szkół morskich zgłaszają się ludzie zupełnie różni wiekiem, usposobieniem, inteligencją czy też pochodzeniem. Można by nawet zaryzykować twierdzenie, że żaden inny zawód nie gromadzi tak różnych elementów w swoich szeregach, jak właśnie marynarka.

Na to zbiorowisko ludzi, poświęcających się pracy na morzu, oddziaływują stopniowo specyficzne, odmienne warunki życia na okręcie. Morze jest pedagogiem, który urabia charaktery, zaciera różnice, rozwija pewne cechy i nawyki. Jest to szkoła twarda i surowa, a przechodzi się ją bynajmniej nie gładko i wygodnie, lecz drogą kolejnych *przełamań* i *wyrzeczeń*, o których ludzie nie obyci z morzem nie mają żadnego wyobrażenia.

Obecnie, w okresie wojennego pośpiechu i zwiększonego zapotrzebowania na marynarzy, wcielanie i szkolenie, czyli ów proces "rodzenia się" marynarza, został znacznie przyśpieszony, zracjonalizowany i dostosowany do potrzeb wojennych. Tym niemniej, nawet w tym skróconym procesie, zasadnicze elementy kariery marynarza: wyrzeczenie się, rezygnacja z wielu przywilejów i wygód życia lądowego — zostały nadal niezmienne.

* * *

W jadalni marynarskiej, mieszczącej się w specjalnym, większym od innych budynku — rojno i gwarno, jak w ulu. Poprzez brzęk naczyń i talerzy przy rozdzielaniu posiłku dolatują nas urywki rozmów, prowadzonych nie tylko w polskim języku. Tu dwóch marynarzy sprzecza się o coś po francusku, tam ktoś klnie soczyście po hiszpańsku czy po portugalsku /ot, tak sobie, aby nie wyjść z wprawy/, ktoś inny wtrąca co kilka zdań jakieś wyrażenia rosyjskie lub stosuje niemieckie przysłowie. A już angielskiego używa każdy w miarę, jak go sobie przyswaja. Istna wieża Babel.

Bo też zebrali się tu Polacy niemal z całego świata. Są tu polscy ochotnicy ze Stanów Zjednoczonych, z Kanady, z Brazylii i z Argentyny. Są ci, co tu do nas z Rosji przez Persję i dokoła Afryki jechali, i ci, co to Rommlowi uciekli, żeby teraz na naszych okrętach bić się przeciw niemu. Są tacy co zaledwie rok temu Warszawę i Gdynię widzieli . . . i ci, co długo musieli wyczekiwać w Mirandzie, zanim się ich stamtąd wyciągnąć udało. Mój Boże, cóż to za naród globtrotterów i poliglotów /to znaczy: znawców wielu języków/ będzie z nas kiedyś, gdy z tej włóczęgi do kraju powrócimy . . .

Już po kilku zdaniach można się zorientować, który z marynarzy jaką drogą przedostał się do Anglii. Są i tacy, którzy zapomnieli polskiego języka na emigracji i teraz uczą się go od kolegów. Ta zbieranina z całego świata, ten wielo-języczny "*melange*" zrasta się i zżywa w obozie z dniem każdym. Już po paru tygodniach co raz mniej słyszy się obcych języków przy posiłkach w marynarskiej jadalni. Natomiast co raz więcej polskich, zwłaszcza tych specyficznie wojskowych zwrotów i marynarskich "powiedzonek" przyswaja sobie wiara na codzienny użytek . . .

Przy moim stole siedzi marynarz, noszący czysto polskie nazwisko na "wski". Jego rodzina osiadłą w Anglii jeszcze przed poprzednią wojną. Johnny urodził się w Londynie i wychował na 100%-ego "*cockney'a*". Kiedy zaczęła się obecna wojna Johnny poszedł do "*Navy*". Wkrótce po tym "destroyer", na którym odbywał służbę, ochraniał konwój na Śródziemnym. Towarzyszył mu polski torpedowiec. Johnny z pewnym niedowierzaniem spoglądał początkowo na biało-czerwoną banderę: "Jakto, to o n i mają nawet okręty i pływają po morzach?" . . .

Było to w czasach, gdy przewaga floty Sprzymierzonych na Morzu Śródziemnym bynajmniej nie była ustalona. Zaraz za Gibraltarem zaczęły się systematyczne naloty, a ataki okrętów podwodnych na konwój powtarzały się bez przerwy. Obydwa torpedowce uwijały się, jak w ukropie. Wtedy to Johnny przekonał się, że "*the Polish people*" w niczym nie ustępują na morzu Anglikom i zaczął patrzeć na swoich kolegów z pełnym uznaniem.

Ale koło Malty zaczęło się robić naprawdę "gorąco". Z portów włoskich wyszły im na spotkanie trzy torpedowce i dwa lekkie krążowniki. Dowodzenie konwojem przypadło właśnie dowódcy polskiej jednostki, kiedy na horyzoncie pokazały się przeważające siły nieprzyjaciela. Rozpoczął się pojedynek artyleryjski. Kiedy włoskie okręty zbliżyły się do konwoju, torpedowce rozpostarły zasłonę dymową i z poza niej ruszyły do ataku torpedowego. Włosi widząc zdecydowaną postawę obrony, zawrócili z drogi i, mimo swej przewagi, zwiali do portu. Konwój doszedł do Malty bez strat.

Wypadek ten zadecydował o przyszłości Johnny'ego. Obudziła się w nim i zagrała polska krew. Zapragnął wrócić do swoich, znaleźć się na pokładzie polskiego okrętu, zostać polskim marynarzem. Rozpoczął starania. W ich wyniku został przeniesiony do Polskiej Marynarki Wojennej i znalazł się w naszym obozie.

Początkowo trudno się było z nim dogadać. Johnny znał zaledwie kilka słów polskich i pomagał sobie angielskim. Ponieważ jednak mówił *cockneyskim* akcentem i stosował mnóstwo "*expression*" i "*slang'ów*" używanych w "*Royal Navy*" — trudno go było zrozumieć. Ale Johnny nie zrażał się tym i wziął się ostro do nauki. Dziś używa już zupełnie nieźle "*Polish expressions*":

—Jak się bawiłeś, Johnny? — pytam go raz w drodze powrotnej z miasta do obozu.

Johnny unosi w górę kciuki obu dłoni i rozkłada ręce:

—Tak szeroko, za trzy peny . . .

—A jak tam twoja dziewczyna, czy chociaż ładną jaką sobie wybrałeś?

—Bardzo ładna . . . — Johnny szuka przez chwilę w pamięci jakiegoś wyrażenia, które zasłyszał kiedyś od kolegów. — Ona ma jedno oko wiechciem zatkane, a z drugiego jej miłość kapie . . .

* * *

Pojedynczo i grupami napływają do obozu nowo-zaciężni. Przychodzą, bądź w cywilnych ubraniach, bądź w mundurach wojska, z którego zostali przydzieleni do marynarki. W tym drugim wypadku nierzadko na naramiennikach "*battle-dress'ów*" połyskują naszywki starszych strzelców i kaprali. Zdarzają się też plutonowi, sierżanci, a nawet podchorążowie . . .

Nowo-przybyli zgłaszają się do magazynu mundurowego, gdzie otrzymują nowiutkie granatowe mundury marynarskie i pękaty brezentowy worek marynarskiego dobytku. "*Battle-dress'y*", posypane naftaliną, wędrują do składu, a wraz z nimi znikają bezpowrotnie naszywki podoficerskie. Jakaby nie była ich szarża w wojsku, z chwilą, gdy włożyli na siebie granatowy mundur — stają się tylko marynarzami. I to jest pierwsze wyrzeczenie się, pierwsza ofiara na rzecz błękitnego.

Zaczynają się "trudy i znoje" szkolenia: owe odwieczne rekruckie "salutowanie w miejscu", chwyty bronią, zbiórki i apele, dla starego żołnierza, nierzadko ex-podoficera, czy "frajtra" — uprzykrzone i nudne. Jednak podobno potrzebne i pożyteczne. — "Wojsko jest jak masło — tłomaczył kiedyś nasz instruktor — jak go dobrze nie ubić, to zjełczeje i skiśnie" . . .

Po sześciu tygodniach kurs rekrucki jest skończony i kompania szkolna składa przysięgę pod banderą wobec kapelana. Po przysiędze odbywa się tradycyjny "pogrzeb rekruta": kukłę ubraną w marynarskie drelichy obnosi się na marach po całym obozie. Przodem kroczy marynarz niosący na poduszce "ordery" za 6-miesięczne "ganianie", oraz utensylia rekruckie: szczoteczkę do zębów, pakuły do czyszczenia karabinu, gwoździe do butów i t.p. Z tyłu za marami postępuje żałobny kondukt "zmartwionych krewnych". Przebieg uroczystości pogrzebowych zależy od pomysłowości i humoru organizatorów: są zazwyczaj "mowy pogrzebowe" i "odczytanie testamentu", jest warta honorowa i salwy nad grobem. W końcu nieszczęsnego "rekruta" pali się na stosie lub topi w basenie z wodą. Odtąd kończą się dla marynarzy udręki rekruckie, rozpoczyna się natomiast, wcale nie łatwe, nabywanie wiedzy okrętowej i szkolenie specjalistów.

Podzieleni na oddzielne grupy, marynarze rozchodzą się teraz na kursy maszynistów, sygnalistów, radiotelegrafistów, elektrykarzy i innych specjalistów okrętowych. Pełnienie służby na okręcie wojennym, obsługiwanie skomplikowanych mechanizmów i obchodzenie się z nowoczesną bronią nie jest wcale proste i łatwe. To też marynarz — nawet ten t.zw. "prosty" /czyli nie mający jeszcze żadnej rangi/ marynarz — musi pojąć i przyswoić sobie gruntownie nieraz bardzo rozległy dział wiedzy teoretycznej potrzebnej w obranej specjalności, musi poznać na wylot swoją broń i nabrać wprawy w posługiwaniu się nią na okręcie.

Nareszcie, kiedy ukończył kurs specjalności, opuszcza "*camp*", by odejść na okręt. Przed odejściem otrzymuje swój marynarski hamak, który bynajmniej nie służy mu za przyrząd do odbywania błogich siest we dnie i w nocy — jak chciała piosenka. Oczywiście jest to rzecz gustu, lecz zapewniam Was wszystkich, którzy nie sypiacie w hamakach, że w łóżku /zwłaszcza ze sprężynami i materacem/, stojącym wszystkimi czterema nogami na nieruchomej i nie wędrującej nigdzie podłodze — sen jest daleko milszy i spokojniejszy. Hamak jest raczej symbolem tych niewygód i prymitywu życia, na które skazuje życie na okręcie.

Marynarz już od dawna przestał być ową zdyscyplinowaną lecz bezmyślną siłą roboczą. Wymaga się dziś od niego wielu umiejętności, rozległej wiedzy fachowej i inteligencji. To też pewne konieczne ograniczenia i niewygody życia okrętowego, którym siłą faktu musi się podporządkować, nie wynikają bynajmniej z jakiegoś ograniczenia potrzeb czy prymitywizmu właściwego marynarzom. Marynarz jest człowiekiem inteligentnym z racji swego zawodu i ma takie same potrzeby i upodobania, jak i inni "ludzie lądowi". A jeżeli zaspokojenie tych potrzeb bywa z racji wojny i warunków życia okrętowego ograniczone, to jest to tylko jeszcze jedno z łańcucha dobrowolnych ofiar, jakie marynarz dla swego fachu ponosi.

* * *

"Na spacer jedzie do New Yorku, by zwiedzić ziemi szmat" . . . — mówi następna strofka rekruckiej piosenki. Obecnie nasze okręty zachodzą czasem i do New Yorku. Z konwojem. Nie bardzo — "na spacer". Atlantyk przestał być wygodnym miejscem spacerowym dla okrętów . . . Ale właśnie dlatego i właśnie tam dopiero, na pokładzie O.R.P., marynarz staje się naprawdę marynarzem.

Kiedy po raz pierwszy rykną na alarm syreny, gdy pokład zadudni tupotem biegnącej załogi, gdy w powietrzu zaświszczą bomby, zagrzmią działa okrętowe lub gładką powierzchnię morza rozpruje ślad biegnącej do celu torpedy, wtedy u dział, w maszynach, przy aparatach i przyrządach rodzi się — "prawdziwy marynarz". Rodzi się na pokładzie swego okrętu. Czasem na tym samym pokładzie przychodzi mu umierać . . . I to jest jego ostateczna, najwyższa, z zawodem związana ofiara . . .

Co raz to nowi, co raz inni ludzie zgłaszają się do Obozu. Przychodzą i odchodzą. Nie ma już w Obozie wesołego Lolka — komika i kpiarza; nie ma Jurka, który tak ładnie tańczył i takie miał u dziewcząt powodzenie; odszedł Kazik, którego prawdziwych i nieprawdziwych opowiadań słuchaliśmy wieczorami; odeszło wielu innych kolegów. Czasem spotykamy się znowu, czasem rozstajemy się na zawsze . . . Bo takie jest życie, i taki jest los marynarza.

Jeżeli więc nie dla pieniędzy, nie dla wygód i przyjemności tu przychodzą, jeżeli tyle jest trudności, ofiar i ograniczeń w tym zawodzie /czy może, jeśli chcecie: w tej części Siły Zbrojnej/ — dlaczego więc idą tu tak chętnie, dlaczego z całego świata, poprzez granice, morza i góry, ciągną do naszego obozu nieprzerwanym strumieniem?

Leży przede mną postrzępiony zeszyt szkolny, zwykły szkolny zeszyt zapełniony dużym czytelnym pismem — zeszyt Stacha. Niech on da odpowiedź na to pytanie:

Stach pięknie grał na gitarze. Grał i śpiewał. Miał miły, melodyjny głos. Lubiliśmy go słuchać. Ale Stach miał też pewną tajemnicę, którą znało tylko paru najbliższych jego kolegów. Pisał wiersze. Właściwie nie wiersze, a piosenki. Układał słowa i dobierał do nich melodie. Słowa przychodziły z łatwością, melodie — trudniej. Były zawsze zbyt podobne do innych, znanych, nie własnych. — "To wszystko kradzione" — mówił. Marzył, że kiedyś znajdzie jakiegoś muzyka, który mu ułoży melodie do jego piosenek. Marzył, że wróciwszy do kraju, zaśpiewa je kiedyś — może przed mikrofonem, może na całą Polskę, może go usłyszą w jego rodzinnym mieście, we Lwowie, i w ten sposób dowiedzą się, że jest, że żyje, że wrócił . . .

Stach odszedł na okręt razem z innymi. Przed odejściem powierzył mi na przechowanie swój skarb — zeszyt z piosenkami. Wkrótce po zatonięciu O.R.P. "Orkan", nazwisko jego znaleźliśmy na liście poległych . . . Stach nie wróci już do Gdyni, w której mieszkał, w której pracował, która rosła w jego oczach. Nie usłyszą jego głosu w rodzinnym Lwowie, ale może znajdzie się ktoś, kto dorobi melodie do jego piosenek, może kiedyś . . . po wojnie. Piosenka ta dopłynie do Gdyni, może ją ktoś zaśpiewa we Lwowie. Może . . .

Oto jedna z nich: "*Tango marynarzy*", która tłomaczy dlaczego i poco przyszli, w co wierzą, o co walczą:

Na niebie lśnią — miliony gwiazd,
na brzegach śpią — miliony miast,
lecz jedna tylko gwiazda prowadzi nas w dal:
żeglarska nasza gwiazda przewodnia
i jedno tylko miasto, którego nam żal,
w tym naszym życiu wędrownym:

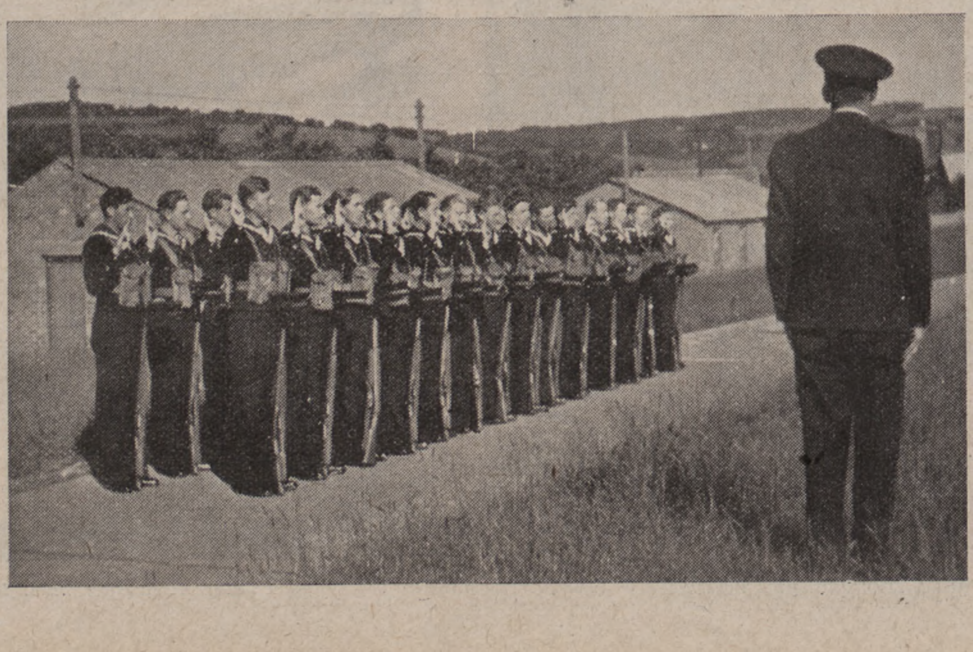
Gdzie kolorowe światła tak migocą,
gdzie krany skrzypią dniem i nocą,
gdzie Bałtyk srebrzy falą siną
i gdzie najmilsza, gdzie jedyna,
na brzegu czeka cię dziewczyna,
morze lazurowe, miasto betonowe
— G D Y N I A.

Wśród obcych mórz — płyniemy w dal,
w zgiełk bitw i burz — na grzbietach fal,
lecz przyjdzie kres wędrówki i szcześnie nasz wróg,
na kurs znajomy sternik zawróci
i u brzegów ojczystych pozwoli nam Bóg
znowu kotwicę zarzucić:

Gdzie kolorowe światła tak migocą,
gdzie krany skrzypią dniem i nocą . . . i t.d.

STANISŁAW MIODUSZEWSKI

Składanie przysięgi przez marynarzy



Bez blackoutu



W. E. Mis redaktor "The Polish-American Youth Federation Magazine" z żołnierzem polskim w Windsorze

W ostatnim numerze "Polski Walczącej" redakcja wydrukowała list, nadesłany pod jej adresem z U.S.A. Miłym korespondentem jest młody dziennikarz Wilfred E. Mis — jak wynika z listu — Amerykanin urodzony w Polsce, którego rodzice pozostali pod okupacją niemiecką.

" . . . Wszystko co miałem, co całym sercem ukochałem — tam w Polsce — zniszczone . . . Moim marzeniem wrócić do Polski . . ."

Pragnąłbym dzisiaj w imieniu nas wszystkich odpowiedzieć Wilfredowi, z którym łączy nas wspólna tęsknota i wspólna praca dla dobra Polski. Bo Mr. Mis konsekwentnie i uparcie, a co najważniejsze, owocnie pracuje dla Polski na terenie Ameryki. Działalność jego obejmuje bardzo ważny teren młodzieży polsko-amerykańskiej.

Nasz przyjaciel, jak wynika z załączonych do listu zdjęć fotograficznych, a przede wszystkim z doskonałego "magazynu" — pisma młodzieży polsko-amerykańskiej, wie dobrze, o co mu chodzi, umie pracować i wykazuje dużo energii. Widzimy go na fotografiach z grupą młodzieży polsko-amerykańskiej, na konferencji w Pensylwanii. Jedno ze zdjęć, dokonanych w Windsorze, podpisuje Wilfred: "Ja z jednym chłopakiem z Warszawy". Z zadowoleniem przypatrujemy się temu Warszawiakowi w mundurze żołnierza polskiego, złączonemu uściskiem z młodym Amerykaninem. Widzimy Wilfreda w niedzielne popołudnie przy awionetce w Massachussets i w Kanadzie w obozie Kościuszki w dużej gromadzie żołnierzy polskich, o których pisze potem na odwrocie zdjęcia: "Ci chłopcy znają mnie dobrze".

Bardzo nam drogi Wilfredzie. My żołnierze polscy w Wielkiej Brytanii poznaliśmy Ciebie dobrze ze słów listu, za który jesteśmy szczerze wdzięczni. Sądzimy, że nie będziesz miał nic przeciw temu, gdy Czytelnikom "Polski Walczącej", rozsianym na szerokim świecie, przekażemy jako dowód Twojej i Twoich Przyjaciół pracy, kilka wyjątków z Waszego doskonałego pisma: "The Polish-American Youth Federation Magazine". /Magazyn Związku młodzieży polsko-amerykańskiej/. W ten sposób poznamy się wzajemnie jeszcze lepiej. Powtórzenie niektórych ustępów Waszych artykułów w pobieżnym choćby skrócie wydaje się tym praktyczniejsze, że, jak sam "general manager" magazynu Frank Lutiński pisze:

"Due to the scarcity of paper it is difficult for us to print over the customary 500 copies of this magazine. When you have finished reading it, will you please pass it on to a neighbour . . ."

/Wobec braku papieru trudno nam drukować więcej, aniżeli normalne 500 egzemplarzy naszego pisma. Gdy przeczytasz, oddaj je proszę któremuś ze swych przyjaciół./

Więc dzisiaj chcemy "pass it" /podać dalej/ do żołnierzy polskich w Wielkiej Brytanii i we Włoszech, do Polaków na całym świecie, a nawet pragniemy, żeby w tej drodze Czytelnicy nasi korzystając z angielskiego tekstu magazynu przekazali niektóre przedrukowane w tym felietonie ustępy przyjaciołom brytyjskim. Młodzież, to przyszłość świata; warto wiedzieć, jak pewne rzeczy odczuwa, jak rozumuje, szczególnie jeżeli wypowiedzi tej młodzieży są tak proste i podawane bez ogródek jak w owym polsko-amerykańskim magazynie.

Pismo to z wielu względów jest nam bardzo miłe. Otwieram je na str. 3, gdzie znajduję artykulik p.t. "Our great PAYE Family" /Polish-American Youth Federation/ /Nasza wielka rodzina — Związek młodzieży polsko-amerykańskiej/. Z tej familijnej kroniki dowiadujemy się, że . . . "Our friend Johnny Pietruch of West Trenton left for Pearl Harbour". Redaktor tego odcinka zapewnia Miss Bertę Bizon, że "We are one big Polish-American Family . . ." Przemiła jest cała rodzina. I ten Bob Timka i Mary Okronglis i ta Stefanie Kocur i Johnny Królewskie, Luizy Dombrowskie, Mildredy Pileckie i Liliana Kobylińska, Olivia Okowita i Dolores Ligawa . . .

"General manager", wspomniany Frank Lutiński, przypomina nie bez pewnej dumy, że ta rodzina obejmuje w chwili obecnej ponad 20 stanów Ameryki Północnej. Wśród zadań organizacji na pierwszym planie stawia autor budzenie sympatii dla Polski i opiekę nad jej przyszłością. W ten sposób rozpoczęta w roku 1943 robota tych młodych ludzi odpowiada całkowicie duchowi majowego Kongresu w Buffalo. Zbliżają się oni do nas, szukają dróg do Polski i myślą o jej przyszłości. Wyjdźmy więc im naprzeciw. Wyciągnijmy serdeczną dłoń. Jeżeli polskie organizacje młodzieżowe na terenie Wielkiej Brytanii do tej pory nie nawiązały z nimi kontaktu, niechże śpiesznie nadrobią zwłokę. Adres: Wilfred Mis, P.O. Box 12, Chicopee Falls, Mass., U.S.A.

Przypuszczam, że najwięcej zaciekawi Czytelników polityczny artykuł Wandy Kugaczewskiej p.t. "The Round Table" /Okrągły stół/. Jest to jedna z tych Wand, z których możemy być dumni w chwili obecnej. Stawia ona sprawy bardzo otwarcie, po amerykańsku. Pozwalamy sobie przedrukować dwa najbardziej charakterystyczne ustępy:

" . . . After September 1, 1939, when the war became a grim reality, the Allied propaganda machine went into action. Poland emerged as 'a valiant nation fighting for her honour and for democracy.' Her challenging battles on the eastern front provided the western allies with precious weeks of preparation for the Nazi onslaught. So Poland was acclaimed a heroic vanguard, and the public was reminded of Chopin, Copernicus, Jan Sobieski, Madame Curie and Paderewski.

" As 1944 approaches, the picture changes completely. Axis influence is waning rapidly and Russia is emerging as the victor on the eastern European front. All very well and good. We believe that Russia, for her valour and her sacrifices, is entitled to world recognition as a great Power, but NOT AT THE EXPENSE OF OTHER COUNTRIES.

" . . . If we told a Yankee to return California to Mexico, it would be unthinkable; ask an Englishman to relinquish India, and he'll let out a bloody yell; yet when Poland meekly demands that which is rightfully her's—her own piece of earth for which she fought and bled and shed bitter tears to hold—let her say just one word in defence of her territory, and she is immediately pounced upon and called a 'pariah,' a 'dissenter' and a serious obstacle to world peace."

/Po pierwszym września, kiedy wojna stała się już tragiczną rzeczywistością, zaczęła działać machina propagandowa Sprzymierzonych. Polska była "dzielnym narodem, walczącym o swój honor i o demokrację". Jej działania bojowe na froncie wschodnim dały Sprzymierzeńcom na Zachodzie cenny czas na przygotowanie się do odparcia napaści nazistowskiej. Polskę wychwalano więc jako bohaterską straż przednią, publiczności przypominano nazwiska Chopina, Kopernika, Jana Sobieskiego, Marii Curie i Paderewskiego.

W zaraniu r. 1944 obraz zmienił się całkowicie. Wpływ państw osi zanika gwałtownie a na froncie wschodnim zostaje zwycięzcą Rosja. W porządku. Wierzymy, że Rosji, za jej dzielność i ofiarność, należy się uznanie przez cały świat za mocarstwo, ale nie powinno się to dziać *kosztem innych narodów.*

Nie do pomyślenia byłoby zaproponować jakiemuś Amerykaninowi zwrócenie Kalifornii państwu meksykańskiemu; Anglik na propozycję wyrzeczenia się Indyj odpowie morderczym krzykiem, ale kiedy Polska skromnie domaga się tego, co jej się prawnie należy — zachowania własnego kawałka ziemi, za który walczyła, krwawiła się i wylewała gorzkie łzy, kiedy powie choć jedno słowo w obronie swego terytorium, natychmiast się ją ucisza, nazywa "pariasem" i "odstępcą" i poważnym szkodnikiem wobec wysiłku ustalenia pokoju światowego./

Myślę, że przepisaniem najważniejszych ustępów z jego ukochanego pisma damy Wilfredowi najlepszy dowód naszej czujności i łączności.

Piszę te słowa w chwili, gdy do Wilna zbliża się ofensywa Armii Czerwonej, gdy sprawa stałego podkreślania praw polskich szczególnie wydaje się żywotna. O takiej polskiej niezłomności pisze w omawianym magazynie właśnie nasz przyjaciel Mis. Artykuł "Poland fights on" /Polska walczy/ kończy słowami:

" . . . We, the American youth of Polish descent, are proud of our fighting brothers—Polish soldiers, sailors and pilots. We are proud of Poland, the mother country of our parents . . ."

/"My, młodzież amerykańska polskiego pochodzenia, dumni jesteśmy z naszych walczących braci — żołnierzy polskich, marynarzy i lotników. Jesteśmy dumni z Polski, ojczyzny naszych rodziców"./

Drogi Przyjacielu! My jesteśmy dumni z tej siły narodowej, która mimo przestrzeni i czasu łączy Johna Pietrucha i Olivię Okowitę z nami, wdzięczni jesteśmy Matkom Waszym i Ojcom, którzy uczyli Was wielkiej miłości dla Polski. Słusznie w piśmie Waszym wybiegacie myślą naprzód aż do Okrągłego Stołu konferencji pokojowej, ale trzeba sięgać dalej. Myślmy już dziś jak w pierwszym na pewno bardzo trudnym okresie niepodległości polskiej, utrzymamy i wzmocnimy współpracę między Polską i Ameryką, jakimi sposobami osiągniemy wzajemne poznanie się i zbliżenie. Zagadnienie to docenił należycie i dyskutował Kongres majowy w Buffalo.

Drogi Przyjacielu Wilfredzie, potrzebna nam jest nie tylko federacja środkowej Europy, ale również federacja wszystkich Polaków rozsianych na całym świecie. Bo gdzież znajdziemy lepszych ambasadorów polskiej racji stanu? Wy — to coś więcej, niż najwytrawniejszy przedstawiciel ministerstwa spraw zagranicznych, Wy — to coś więcej, niż najobrotniejsza filia ministerstwa informacji. Dlatego w chwili, gdy już nie tylko losy Polski, ale całej Europy stają się tematem aktualnych artykułów czołowych publicystów Wielkiej Brytanii — musimy my, przede wszystkim, przewidywać i myślą wybiegać dalej. Przekazujemy Wam cenne dla nas słowa redaktora Voigta, wydawcy miesięcznika: "Nineteenth Century and after". Znakomity ten publicysta, wierny przyjaciel sprawy Polski, napisał w majowym zeszycie w artykule p.t. "The Question" /Pytanie/:

"Europa jest bezwzględnie największą siłą świata, tak materialną jak i duchową. Choć złożona i pełna sprzeczności, Europa jest zdolna do organicznego scalenia — od Morza Bałtyckiego do Morza Egejskiego, od wschodnich granic Polski po Zatokę Biskajską. Anglia ma do wyboru: pójść z Europą albo bez Europy. Jeśli Anglia pójdzie z Europą, Europa odnajdzie siebie — i nie będzie już trzeciej wojny światowej. Jeśli Anglia Europy się wyrzeknie, Europa wyrzeknie się Anglii. I mimo to Europa odnajdzie siebie, choć już nie za naszego pokolenia i choć nie bez trzeciej wojny światowej. Jedyny pokój sprawiedliwy to pokój, który przywróci nam Europę — Europę na straży puścizny, jaką przekazały nam Ateny, Rzym i Jerozolima.

Oto zagadnienie pokoju, zagadnienie naszego pokolenia i przyszłych pokoleń. W porównaniu z tym wszystko inne się nie liczy. Nie liczą się ani Niemcy, ani Francja, ani Rosja, ani Polska, ani Anglia, nie o nie chodzi. Chodzi o. Europę. Czy ma być Europa, czy nie ma jej być? Oto pytanie".

Trzeba nam wyrazić życzenie, by pytanie, które aktualnie staje przed Europą i Polską "to be or not to be" /być albo nie być/ doczekało się właściwej, jedynie możliwej odpowiedzi.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Poradnik żołnierski

St. R. — 9 pytań. Przytaczamy poniżej w całości pański list, zawierający dziewięć różnych pytań. A więc pisze pan:

"Korzystając z faktu, że udzielają WPanowie w "Poradniku Żołnierskim" wyjaśnień i odpowiedzi, proszę uprzejmie o wzięcie pod uwagę moich pytań: 1/ Czy kapral w wojsku polskim jest podoficerem? 2/ Jeśli tak, to dlaczego do Związku Podoficerów i do Kasyn Podoficerskich nie dopuszczono kaprali? 3/ Jakie jest starszeństwo wojskowe między kapralem zwykłym i kpr. podchorążym? Czy kapral /awansowany w r. 1938/ jest starszy od podchorążego /awansowany do kpr. pchor. w r. 1943/? 4/ Czy podchorążemu przysługuje tytuł "pan" gdy się do niego młodszy zwraca? 5/ Czy podchorążowie mogą należeć do Związku Podoficerów? /w Polsce był to fakt niespotykany — ale tutaj jest praktykowane/. 6/ Czy podchorąży ma prawo jadać w kasynie oficerskim, czy też zależy to tylko od jego woli? 7/ Czy podwyżka żołdu w armii brytyjskiej — obowiązuje i w armii polskiej? 8/ Czy można bez podania powodu zrzec się posiadanego stopnia wojskowego? 9/ Czy wyjazdy do stref zakazanych tyczą wojska? /prasa podawała, że wojsko i członkowie parlamentu mogą jeździć do stref zakazanych, ale tylko w ważnych powodach — w wojsku natomiast w ogóle nie wydają do stref zakazanych przepustek bez względu na powód/.

Licząc, że mi panowie jasno na wszystkie pytania odpowiedzą, łączę żołnierskie pozdrowienia".

Postaramy się odpowiedzieć panu najjaśniej i najprościej, według kolejności postawionych patań.

1/ Na pierwsze pytanie odpowiadamy twierdząco: t a k.

2/ Nie ma w wojsku żadnego "Związku" podoficerów. W kasynach podoficerskich stołują się podoficerowie, przeważnie od plutonowego wzwyż — bardzo często z pominięciem kaprali z powodu braku miejsca. Zazwyczaj w każdym oddziele liczba kaprali mniej więcej dorównuje liczbie wszystkich podoficerów od plutonowego wzwyż.

3/ Starszeństwo w stopniu jest jednakie, niezależnie od tego, czy dany podoficer jest podchorążym czy nim nie jest. Jednakże w pewnych wypadkach podchorąży pełnić może funkcje oficerskie i wówczas starszeństwo stopnia nie wchodzi w rachubę.

4/ W Wojsku Polskim regulamin przewiduje, że każdy młodszy stopniem zwraca się do starszego stopniem przez "pan" — niezależnie od tego czy jest podchorążym, czy nie. Jak sam pan pewnie zauważył, w praktyce najczęściej jednak bywa tak, że również oficerowie, nawet nieraz służbowo, zwracają się do swoich podoficerów przez "pan".

5/ Pytanie niejasne. Jak już wspomnieliśmy — w wojsku nie ma "Związku Podoficerów". Jeśli chodzi panu o sprawę kasyn podoficerskich, to podchorążowie stołują się w tych kasynach na równych prawach z innymi podoficerami-stołownikami danego kasyna.

6/ Odnośny przepis brzmi: podchorążowie mają prawo wstępu do kasyn oficerskich bez obowiązku stołowania się. Sprawa stołowania się podchorążych w kasynach oficerskich także często napotyka na te same trudności z powodu braku miejsca, zwłaszcza gdy w danym oddziele jest większa liczba podchorążych. Ta sama więc historia co z kasynami podoficerskimi.

7/ Musi wpierw ukazać się odnośne zarządzenie polskich władz wojskowych. W zasadzie uposażenie armii polskiej jest takie samo jak brytyjskiej.

8/ Zaznaczamy, że nie słyszeliśmy o wypadku zrzeczenia się stopnia, więc nie możemy powiedzieć, jak w takim wypadku należy postąpić. Takie wystąpienie mogło by się wydawać demagogiczne, a w każdym razie nikomu pożytku nie przyniesie.

9/ Pojęcie "ważnego" powodu bywa b. różnie rozumiane. Jeśli powód jest istotnie ważny — zezwolenie uzyskać można, ale od władz brytyjskich. Czytał pan zapewne w prasie angielskiej, że władze odmawiały zezwoleń na wyjazd do stref zakazanych nawet księżom w sprawach związanych z udzielaniem ślubów. Na pewno uzyskanie takiego zezwolenia będzie rzeczą b. kłopotliwą.

Dodatkowo, w odniesieniu zarówno do pierwszego pytania, jak i do wszystkich pozostałych, możemy przypomnieć to, o czym zresztą wszyscy dobrze wiemy, że armia nasza na emigracji, jak wszystkie tego rodzaju armie, cierpi z powodu braku normalnych stanów na brak równowagi w stopniach /pod względem ilości tych stopni/. Trzeba o tym pamiętać, zwłaszcza teraz, by zbyt pochopnie nie dochodzić do niewłaściwych wniosków.

Por. Wł. Ch. — Sprawa adresów Polek z Ameryki. — Dziękujemy za nadesłane 24 adresy Polek z Ameryki, które pragną nawiązać korespondencję z żołnierzami polskimi w języku polskim lub angielskim. Adresy te przesłaliśmy, jak poprzednio, do jednej z Brygad naszej Dywizji Pancernej.

Skrzynka pocztowa

W SPRAWIE GODEŁ PAŃSTWOWYCH

Szanowny Panie Redaktorze!

Pozwolę sobie zwrócić uwagę Pana na pozór błahą sprawę, jaką jest wywieszanie barw państwowych na budynkach, zajmowanych przez nasze instytucje, urzędy, czy zakłady, zarówno wojskowe, jak i cywilne. W sprawie tej bowiem panuje u nas jakiś dziwny nieporządek.

Trzeba przede wszystkim stwierdzić, że przyjętym na całym świecie zwyczajem jest, że urzędy czy instytucje państwowe są oznaczone godłami narodowymi, zwłaszcza gdy urzędy i instytucje te znajdują się na terenie innego państwa. Jest to zrozumiała chęć ujawnienia swej obecności i swojego udziału w życiu zbiorowości międzynarodowej.

Z tego względu widzimy obecnie na terenie W. Brytanii wiszące stale lub okazyjnie olbrzymie standaryzowane co do wielkości i wykonania chorągwie Stanów Zjednoczonych A.P., Francji, Czechosłowacji i wielu innych narodów, manifestujących swoją obecność, święcących uroczystości narodowe, oraz zaznaczających swój udział w rocznicach pamiątkowych innych narodów sprzymierzonych. Na tym tle państw, my pod tym względem wyglądamy słabo — po prostu znowu nas nie ma. Dziwić musi niejednego Brytyjczyka, gdy w uroczyste święta brytyjskie znane mu urzędy czy instytucje polskie nie wywieszają swoich barw narodowych na znak swego udziału w święcie sprzymierzeńca i gospodarza. Zdziwiłby się on jeszcze bardziej gdyby wiedział, że wiele instytucji czy zakładów polskich nie zaznacza nawet własnych świąt narodowych. Tak wygląda ta sprawa w ośrodkach, w których prawdopodobnie bezczynność, bierność i apatia zbyt się rozwielmożniły.

Są jednak ośrodki, przede wszystkim oddziały wojskowe, które rozumieją potrzebę tych form uzewnętrznienia odrębności państwowej. Dzięki staraniom i poświęceniom osobistych kuponów robi się chorągwie narodowe, które w swoich rozmiarach, wykonaniu, a nawet w barwach, stanowią istną mozaikę. Niektóre z nich przedstawiają raczej żałosny wygląd.

Na jednej z ulic Edinburga w niedużej od siebie odległości znajdują się trzy ośrodki o zbliżonym charakterze: polski, amerykański i francuski. Najstarszy, polski — nie posiada żadnego znaku ani chorągwi narodowej, na dwóch pozostałych widnieją stale olbrzymie chorągwie. Na jednej z ulic Cambridge, obok pięknej chorągwi czechosłowackiej wisiała w niedalekim sąsiedztwie jakaś "podkasana" chorągiew, do której w żadnym wypadku nie chciałbym się przyznać jako do moich barw narodowych.

Wydaje mi się, że sprawa ta wymaga uregulowania przez: 1/ wydanie zarządzeń co do obowiązku posiadania i stałego, lub w określonych terminach — wywieszania barw narodowych; 2/ znormalizowania chorągwi państwowych; 3/ stworzenia ośrodka zakupu znormalizowanych godeł państwowych.

dr. Witold Alina

CZYTELNICY "POLSKI WALCZĄCEJ" DLA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

Sekcja Pomocy Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Społecznej Służby Kobiet Polskich podaje do wiadomości ofiarodawców, że z darów na "paczki od serca" ogłoszonych w nr.nr. 18, 19, 20 i 21 "Polski Walczącej" wysłano 344 paczki: 38 paczek żywnościowych /à 10s/ i 306 paczek papierosowych à 1000 sztuk. Imienna lista tych, do których paczki wysłano jest do przejrzenia dla zainteresowanych w Redakcji "Polski Walczącej".

Dla Polaków w Rosji: £10,991

Oficerowie, podoficerowie i szeregowcy na terenie R.A.F. Maintenance Command — na pomoc Polakom w Rosji złożyli w miesiącu maju i czerwcu 1944 r kwotę £6.10.0.

* * *

Dear Sir,

Will you please put enclosed £1 to your fund for the Polish Red Cross from the "Five Rummies".

Yours truly,

Mrs. A. Sharp

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze w kwocie £7.10.0 /słownie: siedm funtów, dziesięć szylingów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,991.4.5 /słownie: dziesięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt jeden funtów, cztery szylingi i 5d./, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5,50 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

NA SZPITAL IM. GEN. SIKORSKIEGO

Szanowny Panie Redaktorze!

Przed paru dniami w Kraju i na całym świecie chylili Polacy w żałobnym hołdzie głowy w pierwszą rocznicę tragicznej żołnierskiej śmierci ś.p. Gen. Sikorskiego.

Nie czas dziś na szumne słowa i pomniki — nie zapomni o nich historia i wdzięczny Naród w dniach chwały i odrodzenia. Ale już dziś możemy uczcić pamięć Wielkiego Polaka przez nasz własny choćby najskromniejszy wkład do inicjatywy brytyjskiej związanej z imieniem Gen. Sikorskiego.

British Committee for Polish Welfare — Polish Children Rescue Fund, Hospital Fund, Lady Anstruther, 1, Hill Street, London, W.1. wystąpił z inicjatywą zorganizowania i pełnego wyposażenia przenośnego szpitala na 250 łóżek dla polskich dzieci w Kraju. Szpital będzie nosił nazwę "The General Sikorski Memorial Hospital for Children".

Koszta wyposażenia na jedno łóżko wynoszą £250.

Jest nas wiele tysięcy Polaków w Wielkiej Brytanii. Droga jest nam pamięć Gen. Sikorskiego — drogi jest nam los dzieci w Kraju.

Jeśli każdy z nas ofiaruje na ten cel tylko po 1 sh. przyczynimy się do wyposażenia szpitala w wiele łóżek, których niestety przez długie jeszcze lata bardzo będzie w Polsce potrzeba dla naszych dzieci.

Stwórzmy fundusz: "Czytelnicy "Polski Walczącej" na Szpital im. Gen. Sikorskiego dla dzieci". Nie powinno nas zabraknąć na liście ofiarodawców, na której znajdzie się wiele nazwisk i instytucji brytyjskich.

Uczcijmy w ten sposób imię Generała i wypełnijmy swój obowiązek wobec tych w Kraju, którzy tak bardzo tej pomocy potrzebują.

Na zapoczątkowanie Funduszu pozwalam sobie przesłać do Redakcji "Polski Walczącej" £2.8.0, zebrane wśród Kolegów.

Czy nie możnaby ponadto użyć na ten cel części wpłat całego wojska na Fundusz Społeczny?

Czy poszczególne Brygady w W.J. lub pułki nie mogłyby ufundować łóżek swego imienia — pozwalam sobie poddać to pod rozwagę Kolegów w oddziałach.

W.Z.

Dla jeńców "paczki od serca": £3,569

Kochany Redaktorze,

W załączeniu przesyłamy 4 Money Orders AC. 78535, AC. 78557, AC. 78597, AC. 78611 na łączną kwotę £114 sh.18 d1 zebraną w czasie objazdu I. Dywizji Pancernej z programem: "Na powrotnej fali" w czasie od 7 — 14 lipca br.

Złożyli tę sumę i za pośrednictwem "Polski Walczącej" przekazują na "Paczki od serca" dla jeńców polskich w Niemczech oficerowie i szeregowi następujących oddziałów:

Saperzy Dywizji Pancernej	£ 8.12. 1
Brygada Pancerna	£21 14.
Szwadron sztabowy	£ 3. . 4
. . . p.art.mot.	£ 3. 2.10
. . . Brygada Strzelców ...	£24.17. 6
. . . p.art.mot.	£ 8. 3. 7
Pancerny Pułk Rozpoznawczy	£ 8.10.
. . . Kompania Sanitarna	£ 2.11. 1
Pułk ppanc. p. art. plot. i zgrupowanie S.	£34. 6. 8
Razem	£114.18 1

Pragniemy podkreślić, że zbiórka na "Paczki od serca" spotyka się nadal wśród ogółu żołnierzy I. Dywizji Pancernej z gorącym poparciem. Za wielką ofiarność i pomoc w przeprowadzeniu tej akcji składamy raz jeszcze wszystkim ofiarodawcom wyrazy najszczerszego uznania i podziękowania.

Łączymy koleżeńskie pozdrowienia

Czołówka Teatralna "Lwowska Fala"

* * *

Dear Sir,

I should be greatly obliged if you would accept the enclosed 3/- as a subscription for Polish Prisoners of War Fund from the National Fire Service, Bolton, Lanc, which amount was paid to cover my travelling expenses when giving a Talk on Poland on Thursday, the 6th July, 1944

Yours faithfully,

Major J.K.Z.J.

Redaktor "Polski Walczącej",

Proszę o przekazanie kwoty £10 na paczki od serca dla jeńców w Niemczech.

Pieniądze powyższe pochodzą z dochodu z zabawy urządzonej przez żołnierzy Baterii Dowodzenia . . . D.A.Mot.

Dowódca Bat. Dow.
kapitan W.P.

* * *

W załączeniu przesyłam 3 Postal Order na kwotę £2.9.0 /słownie: dwa £, dziewięć sh./ jako równowartość 10 dolarów amerykańskich, nadesłanych mi przez matkę chrzestną Miss Zophie Hydzik z Chicago, na moje wydatki.

Dziękując jak najserdeczniej Miss Zophie Hydzik, przeznaczam tę kwotę na "paczki od serca" naszym jeńcom wojennym.

Proszę uprzejmie o umieszczenie powyższego w "Polsce Walczącej", gdyż chciałbym jeden egzemplarz przesłać ofiarodawczyni.

Z poważaniem

J.S.

* * *

Dear Sir,

I have much pleasure in enclosing you herewith a cheque for £17 4s. 6d. being half the proceeds of a concert I organised. Please accept this money as a donation towards your Prisoners of War Parcel Fund.

The concert was arranged with the help of the . . . Polish Mounted Rifles Regt. and the Ladies' Choir of the Anglo-Polish Society of Bradford.

I am enclosing you an account of the concert, no doubt you can translate it into Polish and put it in your paper.

Yours faithfully,

Geo. W. Shimmin /Organiser/

* * *

Szanowna Redakcjo,

Dołączam £7.10.0 na rzecz "paczek od serca". Sumę tę uzyskałem ze sprzedaży złotej obrączki ofiarowanej na cele charytatywne polskie "anonimowo w sklepie W. Falski" przez Angielkę na moje ręce.

Z poważaniem

inż. Fa.

Please find cheque to the value of £7 10.0 being the amount given for a golden ring, sold in the shop of "W. Falski" and was sent to the "Parcel from Heart" Fund by an anonymous English donor to be used for Polish charitable purposes.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

W załączeniu pozwalam sobie przesłać czek na sumę £4 sh.11. Suma ta zebrana została na paczki dla jeńców wśród uczestników V kursu dla działaczy społecznych z Francji, Belgii, i innych krajów Europy Zachodniej, zorganizowanego w Edynburgu przez Światowy Związek Polaków z Zagranicy. Uprzejmie proszę Pana Redaktora o wpłacenie powyższej sumy na odpowiedni fundusz zbierany za pośrednictwem "Polski Walczącej".

Z poważaniem

Wice-Dyrektor
B. Wierzbiański

* * *

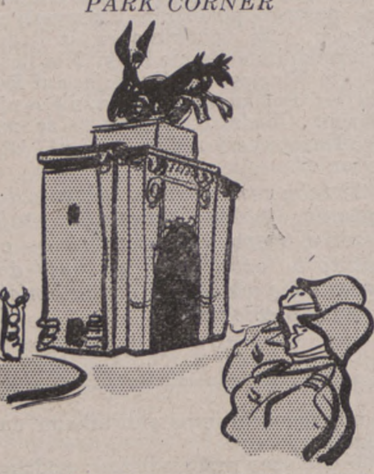
Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze w kwocie £156.15.7 /słownie: stopięćdziesiąt sześć funtów, piętnaście szylingów i 7d./ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,569.0.11 /słownie: trzy tysiące pięćset sześćdziesiąt dziewięć funtów i 11d./, 50 milrejsów brazylijskich i 3 dolary amerykańskie.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

W LONDYNIE PRZY HYDE PARK CORNER



Amerykanin: — Dziwna jest ta rzeźba! Nie wiem dlaczego te konie są tak spłoszone?

—Nie wiesz? Przecież pod nimi jest umieszczona syrena alarmowa.

NOWE OKREŚLENIE

—Panie szefie, prosiłbym o przepustkę, chcę się pożegnać z żoną!.

—Nie blagujcie! Wasza żona jest w Kraju!

—Panie szefie, to pan nie wie, że ja jestem teraz "mężem czasu wojny?"

AKTUALNA PIOSENKA W LONDYNIE — NA STARĄ NUTĘ . . .

"Pamiętasz Rothsay, to ciche ustronie" . . .

ROZMOWA W BARZE

—Nie mogę zrozumieć, dlaczego gen. de Gaulle nie jest w tej chwili na przyczółku we Francji?

—Czy pan oszalał? To pan nie wie, że cudzoziemiec za żadne skarby nie dostanie wizy wyjazdowej do Francji? . . .

POWIEDZONKO

O rodakach, którzy nie schodzą do schronu w czasie nalotów, mówi się, że śpią z uszami wywieszonymi za okna . . .

Z DZIEDZINY MODY



Hełm noś nawet przy zakupach . . .

ODWRÓCONE HASŁO ANGIELSKIE



Hitler: — "Czas na nas pracuje"! . . .

NA KURSIE SANITARNYM

—Panie poruczniku! Jest ranny żołnierz, puls zanika, pacjent traci przytomność. Co pan robi w pierwszej chwili?

—Daję zastrzyk morfiny!

—Bardzo dobrze! Jaką dawkę pan daje?

—10 gramów!

Chwila milczenia. Po dwu minutach zdający odzywa się:

—Panie pułkowniku, chciałbym zrobić poprawkę, pomyliłem się!

Pułkownik-lekarz patrzy na zegarek:

—Zapóźno! panie poruczniku, pański pacjent zakończył życie czterdzieści sekund temu! . . .

AUTENTYCZNE

Na przystanku autobusowym w Szkocji stoi polski żołnierz, który niedawno przybył do W. Brytanii. Obok zatrzymała się Szkotka. Po chwili toczy się rozmowa, przeplatana gestykulacją rąk:

—Ju no?

—Yes, yes! I know all about . . .

—Migoł, jugoł, basgoł, tugoł sinema?

—Yes! We will go together!

—Okej, migoł, basgoł, tugoł sinema . . .

I w pięć minut później autobus ruszył z młodą parą w kierunku kina . . .

GDZIEŚ W ANGLII



—John, ten jegomość chyba zwariował, od tygodnia stoi stale pod parasolem! . . .

—Nie, tylko on udaje, że ma dach nad głową . . .

Tekst i rysunki: **TONY**

RZECZY CIEKAWE, ZABAWNE I POŻYTECZNE

"Naloty nam spowszedniały", rzekł Mr. Peddie. "Nikt o nich nie gada następnego ranka chyba, że miał bezpośrednie uderzenie /*direct hit*/". /Wycinek z *Daily Mail'u*/.

/d/

* * *

Pewien stary *cockney* zapytany czy się nie boi podczas nalotów, odpowiedział: "Nie Panie! Nie boję się. Widzi Pan obliczam moje szanse. Po pierwsze musi taki wariat przelecieć ponad Kanałem, a to nie zawsze mu się udaje. Potem musi przelecieć ponad naszym wybrzeżem. I tam na niego czekają. Potem nad południową Anglią. Wreszcie przychodzi nad Londyn. Ale wtedy musi znaleźć Hammersmith, potem Acacia Road, potem numer 89 a potem . . . ja prawdopodobnie będę w pubie".

/d/

* * *

Pewien korespondent "*Sunday Times'a*" apeluje w liście do redakcji o utrzymanie zawodów sportowych w Anglii w jak największej skali, gdyż "jeśli nie będzie sportu, nie będziemy mogli posyłać wyników naszym biednym chłopcom w niewoli niemieckiej, z których wielu prawdopodobnie nie wie jeszcze o tym kto wygrał Derby w Newmarket".

/d/

* * *

W tych "czasach pogardy" przyjemnie jest posłuchać o honorze. A więc posłuchajcie!

Z internowanej w Argentynie załogi pancernika niemieckiego *Graf Spee* nie pozostał ani jeden oficer. Rzecz jasna! Pozwolono im bowiem żyć na wolnej stopie, jeśli dadzą słowo honoru, że nie uciekną.

Pewien niemiecki oficer spoglądając na wynędzniałego jeńca serbskiego zapytał: — "Dlaczego ty właściwie walczysz człowieku?" — "Dla chleba" — odrzekł Serb. Po chwili milczenia żołnierz serbski zapytał patrząc na szykowny, błyszczący guzikami i orderami mundur oficera niemieckiego: — "A pan o co walczy?" — "Dla honoru, *gewiss*!" — odrzekł Niemiec. — "Tak, tak" — szepnął Serb — "każdy walczy o to czego nie ma".

/d/

JÓZEF GAPA ur. w r. 1910 poszukiwany przez brata. Wiadomości proszę kierować do Redakcji "Polski Walczącej".

SPIS RZECZY:

Józef Winiewicz: Co ma uratować Niemcy. — Matka Boska Wysiedlona. — *Zbigniew Grabowski:* Szkic sytuacyjny. — Z tygodnia na tydzień. — *Julian Ginsbert:* Wojna na morzu. — *Janusz Laskowski:* Kwiaty z normandzkiego brzegu /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — Z Polski Podziemnej /*Żołnierz Armii Krajowej:* Walka w osłonie. *Świadek:* W magicznym kregu. *Jan Nowak:* "Tu mówi Polska Podziemna"/. — Armia Krajowa żyje, szkoli się i walczy /Reportaż fotograficzny/. — *Stanisław Mioduszewski:* Tam, gdzie "rodzą się" marynarze. — *Wiktor Budzyński:* Bez blackoutu. — Poradnik żołnierski. — Skrzynka pocztowa. — Dla Polaków w Rosji. — Na "paczki od serca". — *Tony:* Werinajsek. — Fotografie.

KURS KORESPONDENCYJNY

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Londynie zawiadamia, że Kurs Korespondencyjny przedmiotów polskich, prowadzony przez Ośrodek Nauczania Korespondencyjnego w Glasgowie, wznawia swą działalność po wakacjach w drugiej połowie września br.

Kurs jest w pierwszym rzędzie przeznaczony dla młodzieży polskiej, studiującej w szkołach brytyjskich; korzystać z niego może również młodzież, znajdująca się w Armii Polskiej w W. Brytanii. Ośrodek Nauczania Korespondencyjnego dostarcza uczestnikom materiału lekcyjnego z religii, języka polskiego, historii Polski i geografii Polski w zakresie gimnazjum.

W nowym roku szkolnym, 1944/45, będą prowadzone dwa kursy:

1/ dla nowozgłoszonych,

2/ dla dotychczasowych uczestników, którzy przerobili już materiał 1-go roku nauczania.

Za rozsyłane lekcje od uczniów stałych nie pobiera się opłat.

Zgłoszenia należy kierować do Ośrodka Nauczania Korespondencyjnego — Polish Centre of Teatching by Correspondence, 61, Hillhead Street, Glasgow, W.2.

PODZIĘKOWANIE

Panu Profesorowi medycyny Uniwersytetu Stefana Batorego, ordynatorowi oddz. otolaryngol. 4-go Szpit. Woj. A.P.W. ppor. dr. CZARNOWSKIEMU CZESŁAWOWI za przeprowadzenie trudnej operacji, wyleczenie mnie z ciężkiej choroby i przywrócenie mnie do życia, tą drogą składam moje najlepsze podziękowanie.

Inż. L. Wandycz
A.P.W.

Siostrom Oddz. otolaryngol. 4-go Szpit. Woj.: KOSSOWSKIEJ ZOFII, CECENIOWSKIEJ NUNIE, ŁYCZYŃSKIEJ ZOFII, PIKUTÓWNIE JADWIDZE, za okazanie mi tak wielkiej troski, opieki — za ich tak ciężką i w tak trudnych warunkach pracę w czasie mojej choroby, tą drogą składam moje najlepsze podziękowania.

Inż. L. Wandycz
A.P.W.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od 11-ej—13-ej.

Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.